

Sheri WhiteFeather

*Na pewno
mnie pokochasz*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maggie Connelly czekała przed drzwiami mieszkania Luke'a Starwinda. Wiał silny wiatr, szczególnie ostry i przenikliwy o tej porze roku w Chicago. Czując lodowate macki chłodu na plecach, wzdrygnęła się. Może to ostrzeżenie, pomyślała, zapowiedź niebezpieczeństwa.

Poprawiła torby z zakupami i przeniosła ciężar na drugą nogę. Zwariowała czy co? Zachciało jej się poigrać z ogniem? Nie. Miała prawo włączyć się w to dochodzenie. Przecież dotyczyło jej rodziny. Zginął jej ukochany dziadek i jej uroczy, tryskający energią wujek. Musiała dowiedzieć się dlaczego.

Teraz jej największą przeszkodą jest Luke. Ten były komandos na pewno będzie próbował udaremnić jej wysiłki.

Już ona ma dla niego niespodziankę! Odkryła cenny dowód w sprawie i to będzie jej główny atut, jej as w rękawie.

Luke otworzył drzwi i oboje spojrzeli na siebie bez słowa. Maggie głęboko zaczerpnęła powietrza.

Stał przed nią wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Zaczepane do tyłu kruczoczarne włosy podkreślały ostre rysy twarzy. Wysokie kości policzkowe, krzywy nos, być może noszący ślady dawnego złamania, silnie zarysowana, wydatna szczęka - wszystkie te cechy wskazywały na jego silny, zdecydowany charakter.

Luke był dla niej niekończącą się zagadką. Wszystko w nim - jego ciało i serce, niedostępne serce samotnika - elektryzowało ją i przyciągało jak magnes. A czy on sam zdawał sobie sprawę z drugiej, romantycznej strony swojej natury? Bo ona wyczuwała w nim jakieś wewnętrzne ciepło skrywane pod pozorami oschłości.

Na weselnym przyjęciu jej brata Luke poprosił ją do tańca. Zdawało jej się, że jeszcze czuje, jak płyną zapamiętani w łagodnym kołysaniu. W pewnej chwili otarł się policzkiem o jej skroń i, mocniej przyciskając ją do serca, wyszeptał parę słów w języku Czirokezów. Czegoś tak czułego, a jednocześnie niebywale erotycznego, doświadczyła pierwszy raz w życiu.

Po tym zmysłowym tańcu unikał jej, chowając się pod dobrze jej znanym pancierzem. Ale dlaczego? - zastanawiała się. Czy dlatego, że bał się jej ulec?

- Co ty tu robisz? - zapytał szorstko.

Nie zmieszana, wręczyła mu torby z zakupami.

- Przyszłam, żeby ci przyrządzić obiad, Starwind. Spodziewam się, że zachowasz się jak dżentelmen.

Luke wziął od niej torby, ale z wrażenia omal jednej z nich nie upuścił. Maggie powściągnęła uśmiech triumfu. A jednak pan Niezłomny ma swoje chwile słabości.

Zrobił jej przejście, a ona wtargnęła energicznie do środka, z ciekawością rozglądając się po jego mieszkaniu.

Przestronny, dwupiętrowy dom z kamiennym kominkiem urządzone był solidnie i funkcjonalnie. Rustykalne, dziewiętnastowieczne meble nosiły na sobie piętno czasu, ale pasowały do jego osobowości. Nie zauważyła żadnych zbędnych przedmiotów ani osobistych pamiątek. Dom znajdował się w samym sercu Chicago, a jeżeli to prawda, że dom odzwierciedla duszę

swoich mieszkańców, Luke musiał wychowywać się na farmie albo na ranczu. Dębowe podłogi lśniły czystością. Tu i ówdzie zakrywały je sznurkowe chodniki.

Maggie bez większego trudu znalazła drogę do kuchni. Luke postawił zakupy na wyłożonym płytkami blacie, a ona rozejrzała się dokoła. Wszędzie panował ład i porządek. Zwróciła uwagę na parapet nad zlewozmywakiem z nierdzewnej stali. Był pusty. Żadnych roślin do podlewania, niczego, o co trzeba byłoby dbać.

Ogarnęła ją fala smutku. Nagle zapragnęła ożywić ten siermiężny świat pana Niezłomnego, wywołać na jego twarzy uśmiech. Tymczasem jednak on oparł się o kredens i z ponurą miną przyglądał się jej podejrzliwie. Przez moment przestraszyła się nawet, że poznał jej zamiary. Rozpięła płaszcz, starając się zachowywać swobodnie. Miała wszakże do czynienia z wysokiej klasy prywatnym detektywem, w którego naturze leżało przyglądanie się ludziom i analizowanie ich zachowań. W dodatku, jak sądziła, podobała mu się jako kobieta.

Ich ciała ocierające się o siebie w zmysłowym tańcu, ich serca podporządkowane temu samemu erotycznemu rytmowi. *A qua da nv do*. Dziwne, indiańskie słowa przyprawiły ją o lekki zawrót głowy. Co znaczyły? I dlaczego w jego głosie było tyle smutku i tęsknoty?

Maggie powiesiła płaszcz na oparciu jednego z krzeseł w przyległej jadalni. Spojrzenie Luke'a przebiegło od jej kaszmirowego sweterka po czubki włoskich botków i z powrotem.

- Co się dzieje? - zapytał. - O co ci chodzi?

- O nic - odparła nieco zbyt niewinnie. Za wcześnie, żeby wyłożyć kawę na ławę. Najpierw poda mu pyszne makaronowe danie i napoi swoim ulubionym winem.

Luke skrzyżował ramiona. Miał na sobie dzinsy i ciemnoniebieską bluzę, strój nieco zbyt pospolity przy jego dumnej posturze. W lewym uchu połyskiwał mały kolczyk. Wydawał się naturalnym dopełnieniem wizerunku kogoś, dla kogo ważne są jego indiańskie korzenie.

- Trudno uwierzyć, że znasz się na gotowaniu - powiedziała, kiedy wypakowała rzeczy z toreb.

- Bardzo śmieszne. - Zmierzyła go wzrokiem.

Dobrze znała ten ton. Nikt nie traktował jej serio. Była najmłodszym dzieckiem w jednej z najbogatszych i najbardziej wpływowych rodzin w kraju. Jej słynąca z elegancji matka pochodziła z królewskiego rodu, a ojciec, człowiek z charakterem, dorobił się ogromnego majątku, przeobrażając małą firmę w ogólnoswiatową korporację. Nazwisko Connelly budziło powszechny szacunek, podczas gdy ją paparazzi postrzegali jako rozpuszczoną, nieco zwariowaną dziedziczkę fortuny. Fotografowali ją na rozmaitych przyjęciach, a jej zdjęcia krążyły potem po różnych kolorowych czasopismach, sprawiając, że wszyscy myśleli, że tylko imprezy jej w głowie.

Podczas gdy o jej życiu osobistym rozpisywały się plotkarskie kolumny, Luke zazdrośnie strzegł swojej prywatności. Dlaczego zawsze trzymał się na uboczu? - zastanawiała się Maggie. Dlaczego był taki ostrożny? I dlaczego przystojny, spełniony zawodowo trzydziestodziewięciolatek wybrał życie w samotności? W tej sprawie przeprowadziła małe śledztwo i chociaż Luke nie przyznał faktów. Nie był nigdy żonaty ani zaręczony. Nic nie było wiadomo o jakichkolwiek jego poważniejszych związkach i przeważnie odbierano go jako osobę niezwykle skrytą.

Maggie przytrzymała uważne spojrzenie Luke'a, mając na-

dzieję, że zobaczy płomyczek zadowolenia, iskierkę radości. Na próżno. Tak jakby nie pozwalał się do siebie zbliżyć, bojąc się obudzić jakieś upiory z przeszłości.

Czy mogłaby to zmienić? Mocno go przytulić i wypogodzić mu twarz? Bardzo chciała przynajmniej spróbować. Nie łudziła się jednak, że Luke to doceni. Zwłaszcza kiedy się dowie, że postanowiła pomagać mu w prowadzeniu śledztwa. Spodziewała się, że Lucas Starwind nie będzie zachwycony jej pomysłem.

Godzinę później Luke i Maggie siedzieli naprzeciw siebie przy stole w jadalni. Widział, że nie przyszła do niego ot, tak sobie. Wcześniej wypytywała o niego w mieście, a teraz próbuje go obłąskawić domowym jedzeniem. Młoda, piękna, impulsywna Maggie. Rozpieszczana córeczka państwa Connellych. Wyzwolona bachantka. To wszystko jakoś do siebie nie pasowało.

Ale Maggie właśnie taka była. Nieprzewidywalna. Poruszała się jak muza, jak bogini tańca - zalotnie i zmysłowo. Jasnobrązowe włosy opadały swobodnie na ramiona, a oczy przypominały kolorem tropikalne morze. Smukłe, kobiece kształty dopełniały tego niczym nieskrępowanego piękna. Do tego jej temperament, który sprawiał, że krew szybciej krążyła mu w żyłach. Nie podobało mu się jednak to ich wzajemne przyciąganie. Była dla niego o wiele za młoda. Dzieliło ich siedemnaście lat. Prawie całe pokolenie.

Luke ogarnął wzrokiem jedzenie, jakie przyrządziła: sałatka na przekąskę, lasagne, świeże pieczywo. Niewyszukany, a smaczny posiłek. Taki, jaki można dostać w małych kafejkach przy spacerowych traktach. Zadbała nawet o intymną atmosferę. Perfumowana świeca migotała pomiędzy nimi niczym połyskujący

klejnot. Nie zapominał jednak, że nie byli na randce, i pomimo musującego w szkle wina kontrolował sytuację. Może niezupełnie, ale prawie. Na tyle, na ile pozwalała mu bliskość Maggie. Wiedział, że sobie poradzi, pod warunkiem, że nie będą się dotykali.

Podniósł wzrok i zauważył, że mu się przygląda. Jej niebieskozielone oczy emanowały magicznym blaskiem. Odniósł wrażenie, że Maggie jest czarodziejką istotą, że ma moc, dzięki której potrafi poznać tajniki jego duszy.

Zaniepokojony własnymi myślami zmarszczył czoło. Maggie Connelly nie jest czarodziejką tylko kobietą, a on ma dość zdrowego rozsądku, żeby nie wikłać się w jakieś romantyczne bzdury.

W takim razie cóż w niej było takiego, że tulił ją do siebie tak mocno, kołysząc w takt muzyki? Że wyznania same cisnęły mu się na usta? Od dzieciństwa nie używał dialektu Kituwah.

Pokręcił głową, próbując uporządkować myśli. Roztrząsanie tamtego wydarzenia nie przyniesie mu niczego dobrego. Nadal nie wiedział, z czym do niego przysła.

- Przejdźmy do rzeczy - rzekł. - Powiedz, o co ci chodzi.

Maggie sięgnęła po swój kieliszek. W świetle świec wyglądała naprawdę czarująco. Jasne pasemka w jej włosach połyskiwały złotawo niczym cenne klejnoty.

- Chcę ci pomagać w prowadzeniu naszej rodzinnej sprawy.

Luke zacisnął szczęki. Ach, tak? Młoda studentka chce się zabawić w detektywa. Nie ma mowy, pomyślał. Nie zgadzam się. Tom Reynolds, jego wieloletni partner, zginął, zajmując się właśnie tą sprawą. Będzie mu deptała po piętach i pakowała się w różne afery. Jeśli mu czegoś potrzeba, to na pewno nie amatorszczyzny.

- To nie zabawa, Maggie. - Przeszył ją świdrującym spojrzeniem. - Można stracić życie.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - Obruszyła się. - Król Thomas był moim dziadkiem, a księżę Mark wujkiem.

I obaj nie żyją, dodał w myślach Luke. Zabici w pozorowanym wypadku na morzu.

- I zdajesz sobie z pewnością sprawę, że maczał w tym palce mafijny klan Kellych. Mają wtyczki w Altarii. - Luke oparł się o stół. - To skomplikowana sprawa o zasięgu międzynarodowym. Komuś z najbliższego otoczenia króla zależało na jego śmierci.

- I dlatego to jest dla mnie takie ważne. Mam prawo wiedzieć, dlaczego zginęli członkowie mojej rodziny. Altana to mój drugi dom.

Oczami wyobraźni widział ją w Altarii, wygrzewającą się na białych, piaszczystych plażach, przechadzającą się brukowanymi uliczkami, oddychającą rześkim, czystym powietrzem. Altana była niezależnym królestwem, leżącym nad Morzem Tyneńskim, niedaleko południowego wybrzeża Włoch. O tak, Maggie należała do tego świata, do tej malowniczej wyspy uosabiającej jej młodość i błękitną krew. Nie miał wątpliwości, że ze wszystkich swoich wnucząt to ją król Thomas lubił najbardziej.

- Ta sprawa jest zbyt niebezpieczna. Tu nie ma miejsca na sentymenty. - Nie miał zamiaru ustąpić.

- Mój dziadek i wuj nie żyją - podkreśliła zdecydowanym tonem, odsuwając talerz. - Jestem im to winna.

Luke wydał głębokie westchnienie. Jakże dobrze ją rozumiał. Ja i jej pragnienie sprawiedliwości. Ale sytuacja Maggie była inna. Rodzinna tragedia odbyła się bez jej udziału.

- Nie mogę cię w to wciągać.

- To już się stało. - Uniosła zadziornie głowę. - Mam dowód. Coś, co łączy się z tą sprawą. Jestem o tym przekonana.

Luke przyglądał się jej badawczo. Śliczna Maggie - Studentka Wyzwolona, panienka z wyższych sfer, bywalczyni salonów. Głowę by dał, że blefuje. Niemożliwe, żeby sama odkryła coś ważnego. Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Doprawdy? A co to by miało być, poruczniku Colombo?

Rozdrażniona żartobliwym tonem, zmierzyła go spojrzeniem, przy czym jej oczy zmieniły nagle kolor.

- Parę tygodni temu w paczce koronek z Altarii znalazłam OD-ROM - odpowiedziała chłodno, a Luke natychmiast przestał się uśmiechać. - Nie wiem, co zawiera, bo trzeba znać hasło, ale nie trzeba geniusza, żeby stwierdzić, że ktoś przemycił to z kraju.

Kolejny przemycony materiał. Jasny piorun! Już tylko przez to mogła zginąć, pomyślał z przerażeniem Luke.

- Komu jeszcze o tym powiedziałaś?

- Nikomu.

- To dobrze. - Odłożył widelec, czując nieprzyjemne ściskanie w żołądku. W tej sytuacji nie mógł myśleć o jedzeniu. - A czego szukałaś w hurtowni? Po co tam weszłaś?

Wiedział przecież, że Maggie nie angażowała się w ten rodzinny biznes.

- Nie weszłam. - Popatrzyła chłodno. - Potrzebowałam koronki na sukienkę i złożyłam formalne zamówienie. Kiedy przysłała paczka, hurtownia mi ją przesłała. To wszystko.

CD-ROM zawieruszony w paczce z koronkami! Luke potrzęsnał z niedowierzaniem głową. Żeby przez jakąś kieckę wplątywać się w aferę z bronią biologiczną!

- Oddasz mi tę płytę i zapomnisz, że ją kiedykolwiek widziałas.

- O, nie! Nie zgadzam się. Zatrzymam ją, dopóki nie zgodzisz się przyjąć mnie do współpracy.

Maggie uniosła dumnie głowę w królewskim geście, a Luke zaklął pod nosem. Księżniczka! Psiakrew!

Najstarszy brat Maggie, Daniel, miał niebawem oficjalnie zostać królem. Uroczysta ceremonia koronacyjna miała się odbyć pod koniec miesiąca, ale on sam złożył już śluby przed Zjednoczonymi Izbami. Był już władcą tego niewielkiego królestwa i miał się czym martwić. Ważne informacje przeciekały poza granice państwa. Z pewnością nie ucieszyłby go fakt, że jego siostra odmawia wydania dowodu w sprawie.

- Nie ujdzie ci to płazem - powiedział Luke.

- Tobie też nie - odparowała.

Luke ponownie zaklął, ale tym razem już głośno. Była równie uparta jak on. Będzie musiał coś z tym zrobić.

Rezydencja Connellych mieściła się w najmodniejszej dzielnicy Chicago. Była to klasyczna budowla z czerwonej cegły, stojąca dumnie pośrodku imponującego trawnika.

Luke stanął przy marmurowym kominku, czekając na przyście Rafe'a, brata Maggie. Maggie miała ośmiu braci i dwie siostry. Rafe pomagał mu w prowadzeniu śledztwa.

Oparłszy się o półkę nad kominkiem, Luke zatoczył wzrokiem po pokoju i pokręcił głową. Nie mógł sobie wyobrazić dorastania w takim domu. Sam do biednych nie należał, potrafił docenić piękno antyków, ale ostentacyjne bogactwo otoczenia bynajmniej nie przypadło mu do gustu. Przezornie odsunął się od bezcennej wazy, która znalazła się w zasięgu jego ramienia. Dynastia Ming czy Qing - dla niego bez różnicy. Nie miał zamiaru jej stłuc, żeby się tego dowiedzieć.

W tym momencie wszedł Rafe. Luke wyciągnął do niego rękę na powitanie. Zanim się poznali, wyobrażał sobie go jako typowego komputerowego zapaleńca. Okazał się daleki od jego wyobrażeń. Był wysportowany i pracowity, a przy tym, jeśli tylko był w nastroju, potrafił być czarujący. Z upodobaniem nosił sportowe stroje i pasjami lubił szybkie samochody. Luke bardzo go szanował. Jeśli ktokolwiek był w stanie przekonać Maggie do zmiany zdania, to właśnie Rafe. Pomimo swojego rozsądku i opanowania czasami dawał się ponieść emocjom, w czym bardzo przypominał swoją siostrę.

- Udało się? - zapytał Luke.

Rafe pokręcił głową.

- Siedzi w swoim pokoju i fuka jak rozdrażniona kotka. Nie ma sposobu, żeby oddała CD-ROM. Chyba że pójdziemy na kompromis.

- Powiedziała ci, co na nim jest?

Rafe wiedział o istnieniu skradzionych plików i o ich śmiertelnie groźnej zawartości. Popatrzył na Luke'a z niedowierzaniem.

- A skąd! Najpierw rozmówi się z tobą.

Zamilkli, obaj pogrążeni w niewesołych myślach. Sprawa była niebezpieczna, wymagająca szczególnej dyskrecji w działaniu. Luke wbił wzrok w krzewy za oknem.

- No to co zrobimy? - zwrócił się wreszcie do Rafe'a.

- Chyba nie mamy wielkiego wyboru. Jeśli nie pozwolimy jej się włączyć i tak będzie węszyć po swojemu. - Rafe przygładził ręką lekko falujące jasnobrazowe włosy. - Chętnie bym jej przyłożył. Jak Boga kocham.

Luke znał to uczucie. Wiedział też, co Rafe chce przez to powiedzieć. Gdyby Maggie zaczęła robić coś na własną rękę,

znalazłaby się w o wiele większym niebezpieczeństwie, niż pracując z nim. Fakt, że była w posiadaniu jednego ze skradzionych plików, tylko pogarszał jej sytuację.

- Potrzebne mi to jak...

- Wiem. Przykro mi.

Znowu obaj zamilkli. Luke pomyślał o zastrzelonym Tomie Reynoldsie. Żołądek zacisnął mu się w bolesny węzeł. Gdyby wtedy nie wyjechał i nie zostawił go samego, może by nie zginął.

- Będziesz musiał na Maggie bardzo uważać.

Luke podniósł wzrok i spojrzał Rafe'owi prosto w oczy. Czyżby winił go za śmierć Toma? A może zobaczył w nich tylko odbicie własnego poczucia winy?

- Proszę cię, Luke, nie pozwól, żeby jej się coś stało. Opiekuj się nią tak, jak gdyby była twoją rodzoną siostrą.

Rodzoną siostrą! Kolana się pod nim ugięły. Bolesny skurcz chwycił go za serce. Przypomniwał mu, że ma na sumieniu nie tylko śmierć Toma Reynoldsa. Dwadzieścia siedem lat temu pozwolił, żeby umarła mała śliczna dziewczynka. Nigdy nie zapomni dnia, kiedy znaleziono jej ciało. Było parno i duszno, kiedy jeden z farmerów natknął się na jej posiniaczone i poranione zwłoki.

- Obiecuj mi, że będziesz jej strzegł.

- Będę - powiedział z determinacją Luke. - Obiecuję.

Nie rzucił słów na wiatr. Ochroni ją, choćby miał to przypłacić życiem. Albo utraci resztki honoru, które mu zostały.

Uśmiech ulgi rozpogodził twarz Rafe'a.

- No, łatwe to nie będzie. Jest uparta jak sto diabłów.

Luke'owi nie było do śmiechu. Zresztą rzadko się śmiał. Cała jego radość umarła dwadzieścia siedem lat temu.

- Miałem już z nią spięcie i wiem, co mnie czeka.
- Będzie trzeba ją zapoznać ze wszystkim, co już wiemy
- powiedział Rafe. - Lepiej, żeby nie włączyła się sama po mieście.

- Zgoda, ale przedtem chcę, żebyś ustalił z nią podstawowe zasady. Przede wszystkim powiedz jej, że to ja jestem szefem. To moje śledztwo i cokolwiek powiem, tak ma być.

- OK, powiem, co trzeba - zgodził się Rafe. - Przyślę ją do ciebie za parę minut.

Luke skierował się do drzwi wychodzących na taras.

- Będę czekał na dworze. Odetchnę świeżym powietrzem.
- Aha, i jeszcze jedno...
- Tak? - Luke odwrócił się ku niemu z pytającym wyrazem twarzy.

- Dzięki, Luke.

W odpowiedzi Luke skinął tylko głową. Miał ochraniać Maggie Connelly. Myśl o tym napawała go przerażeniem. Z drugiej jednak strony, brat Maggie obdarzył go zaufaniem. Cała odpowiedzialność spoczywała teraz na nim. Takiego wyzwania nie odrzuciłby żaden Czirokez.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wychodząc na dwór, Maggie wcisnęła ręce w kieszenie kurtki i lekko skuliła się przed chłodem. Luke stał w milczeniu, z twarzą zwróconą ku niebu - samotna postać w sercu zimowego ogrodu.

W oddali zieleniły się krzewy bukszpanu. Wyglądały jak ściany pełnego tajemnic, mistycznego zamku. W całym Lake Shore Manor właśnie to miejsce Maggie lubiła najbardziej. Ten labirynt ścieżek sprawiał wrażenie czegoś mrocznego i niebezpiecznego, a mimo to kusił swoją tajemnicą.

Zupełnie jak Lucas Starwind.

Ubrany był w czarne dżinsy i skórzaną kurtkę z postawionym kołnierzem. Grube podeszwy jego butów zostawiły ślady odcisnięte na zgniecionej, zmarzniętej trawie. Odwrócił się ku niej i patrzył, jak się zbliża. Ale nawet kiedy stanęła przed nim twarzą w twarz, nie odezwał się.

Maggie nie знаła nikogo takiego jak on. Było w nim coś pociągającego. Budził w niej podobne emocje jak ten bukszpanowy zakątek. W dzieciństwie bawiła się tam w chowanego. Kręte ścieżki i ślepe alejki wywoływały w niej uczucie lęku, ale i ekscytacji.

Wysoki, dobrze zbudowany Lucas wyglądał na silnego męż-

czynę. Wystające kości policzkowe rzucały cień na policzki, w kącikach oczu zaznaczały się wyraźnie głębokie linie. To od marszczenia czoła, pomyślała, albo od spoglądania w stronę słońca. We włosach zauważyła delikatne ślady siwizny.

- Zimno ci? - zapytał. - Może chcesz wrócić do środka?

Pokręciła głową. Na dworze panował przejmujący chłód, ale nie chciała, żeby prysnął czar tej chwili.

- Niedługo spadnie śnieg - oznajmił. - Najdalej w piątek lub w sobotę.

Oficjalne prognozy pogody głosiły co innego, a jednak to, co mówił, brzmiało przekonująco. Taki samotnik jak on musiał coś o tym wiedzieć. Pewnie spędził wiele godzin sam na sam z zimowym niebem nad głową.

Miała wielką ochotę go dotknąć, ale pozostawiła ręce w kieszeniach. Luke nie należał do osób, które można ot, tak sobie dotknąć. Ale też to, co iskrzyło między nimi, nie było zwyczajne.

- Czy Rafe rozmawiał z tobą? - spytał, zaglądając jej w oczy.

- Tak. Powiedział, że mam ci być bezwzględnie posłuszna.

To, oczywiście, od razu wzbudziło w niej organiczny sprzeciw. Była już dorosła i nienawidziła, kiedy Rafe traktował ją jak małe dziecko.

- Zgadza się. Masz robić to, co ci powiem. Za to ja będę cię miał cały czas na oku.

- Ach tak? - Nie była pewna, czy bardziej ją to cieszy, czy irytuje. Chciała spędzać z nim czas, ale nie na tej zasadzie.

Luke popatrzył na nią podejrzliwie spod przymrużonych powiek.

- Jakiś problem?

- Nie. - Postanowiła być miłą.
- To dobrze. Teraz musisz mi powiedzieć parę rzeczy.

Nagły poryw wiatru odsłonił mu włosy z czoła. Schodzące się łuki brwi nadawały jego twarzy groźny wyraz. W uchu błysnęła srebrny kolczyk.

- Chcę wiedzieć, gdzie śpisz.

Pomimo zasadniczego tonu jego głosu przeszedł ją lekki dreszczyk.

- Mam swój pokój w Lake Shore Manor, ale przeważnie mieszkam w mieście. Mam swoje studio na najwyższym piętrze apartamentowca w centrum. Cały budynek należy do mnie.

To studio było jej przystanią, jej domem i zarazem pracownią. Maggie była malarką. Wszystko, co tworzyła, brało się z jej emocji. Całą swoją wrażliwość przelewała na płótno. Jego też mogłaby teraz namalować - z wiatrem targającym mu włosy, odbłaskiem dnia w tych jego niepokojąco smutnych oczach, z połyskującym szarosrebrnym kolczykiem.

- Czy utrzymujesz z kimś intymne stosunki? Z kimś, kto ma klucze do twojego mieszkania?

Znowu zadrżała. Jeśli chciałaby z kimś być, to właśnie z nim. Przez moment wyobraziła sobie, jak wchodzi w nią - rozpalony i gwałtowny. Spojrzała mu w oczy, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

- Nie. A ty, Luke? Masz kochankę?

Odwrócił wzrok.

- To nie ma nic do rzeczy.

Potrząsnęła głową, ale stworzony przez wyobraźnię obraz nie chciał zniknąć.

- A zatem ja mam ci zdradzić wszystkie swoje tajemnice, ale o tobie nie wolno mi nic wiedzieć.

- Zgadza się. A wiesz dlaczego, Maggie?

Nie musiała odpowiadać. Widać było, że pragnie sam ją oświecić.

- Jesteś jeszcze zbyt młoda i łatwo ulegasz nastrojom. Brakuje ci chłodnego spojrzenia na świat. Nie sądzę, żebyś potrafiła odróżnić śledzącego cię fotoreportera od czającego się na pastnika.

Maggie policzyła w myślach do dziesięciu, a potem jeszcze do dwudziestu. Z trudem powstrzymywała się, żeby nie wybuchnąć.

- Inaczej mówiąc, jestem jak ten wrzód na tyłku, tak?

- Powiedzmy, że nie jesteś dokładnie partnerem, jakiego bym sobie życzył.

Kiedy to mówił, cień przebiegł mu po twarzy. Maggie wiedziała, że przypomniał mu się Tom Reynolds. Po jego pogrzebie, targany rozpaczą, zniknął na jakiś czas z miasta. Prawie nie panował wtedy nad sobą.

- Przecież ty też ulegasz emocjom.

- Nie tak jak ty. W jednej chwili cieszysz się jak dziecko, a w drugiej wrzeszczysz na ludzi. Chodź - powiedział, robiąc krok w stronę dziedzińca i przygotowując w myślach strategię działania. - Usiądziemy sobie w spokoju i wprowadzę cię w temat.

Dziesięć minut później siedzieli przy stoliku ze szklanym blatem, każde z nich z filiżanką gorącej kawy. Maggie wybrała słodką cappuccino z sokiem malinowym. Luke wolał małą czarną bez cukru. W pewnej chwili spowaźniał i, patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Mamy do czynienia z groźbą użycia broni biologicznej.

Maggie wstrzymała oddech, a po chwili gwałtownie wypuściła powietrze.

- Mówisz o CD-ROM-ie, który znalazłam? Jakaś zabójcza formuła?

Luke skinął głową.

- Udało nam się odzyskać sześć płyt CD, w tym tę od ciebie, ale to nie wszystko. Zawarte na nich pliki zostały skradzione z Rosemere Institute.

- To jakiś obłąd! Jak to możliwe, że instytut był w posiadaniu jakichś niebezpiecznych materiałów w swoich dokumentach?

- Prowadzono badania nad genotypem wirusa - wyjaśnił Luke.
- Chodziło o to, żeby wyhodować wirusa zdolnego niszczyć komórki rakowe bez skutków ubocznych dla pacjenta, jakie mają miejsce przy naświetlaniu czy chemioterapii. W ubiegłym roku doszło do przełomu w badaniach, ale ponieważ zakres tych badań był szeroki, przy okazji wyprodukowano wirusa stymulującego wzrost komórek rakowych. I to wirusa, który przenosi się drogą kropelkową.

Maggie nie dowierzała własnym uszom.

- Wyhodowali raka? A król Thomas o tym wiedział?

- Tak. Zrobił wszystko, żeby ten wirus został zniszczony, a z nim kody potrzebne do jego produkcji. Ale gdyby wszystkie potrzebne dane z instytutu trafiły do dobrego, dysponującego nowoczesną technologią laboratorium, nie można wykluczyć, że ktoś te kody rozszyfruje i odtworzy wirusa z powrotem.

- Ilu CD-ROM-ów jeszcze brakuje?

- Wystarczy, żeby było się czym martwić. Ktokolwiek je ma, zechce je sprzedać na czarnym rynku. I w tym cała rzecz.

Maggie czuła pulsowanie krwi w żyłach. Broń biologiczna nie była tym, czego się spodziewała.

- To dlatego król Thomas i księżę Mark zostali zabici?

Luke zawahał się, widząc, jak bardzo była przejęta. Nie mógł jej teraz powiedzieć, że księżę był prawdopodobnie zamieszany w tę kradzież i że swoją zdradę przypłacił życiem.

- Nie znamy jeszcze wszystkich szczegółów - rzekł Luke.
- Wiemy, że to sprawka Kellych. Pomimo że siedzą w więzieniu, nadal mają swoich ludzi w Altarii.

Maggie podniosła do ust filiżankę.

- Więc zakończymy tę sprawę, kiedy odzyskamy wszystkie pozostałe pliki, a zdrajców Altarii wsadzimy za kratki?

- Tak.

Zapadło milczenie. Luke przypuszczał, że Maggie potrzebuje czasu, aby oswoić się z tą nową sytuacją.

Dziedziniec nie chronił ich zbyt przed wiatrem. Włosy Maggie fruwały we wszystkie strony. Jasnobrażowe pasma lśniły złotawo za każdym podmuchem. Miała na sobie płaszcz przypominający kolorem sierść wielbłąda z kołnierzem obszytym sztucznym futerkiem. Efekt był oszałamiający. Wręcz trudno się przy niej skupić, pomyślał Luke. A przy tym wyglądała tak bezradnie.

Maggie drżącą ręką odstawiła filiżankę.

- To okropne. Król Thomas założył ten instytut z myślą o żonie, która zmarła na raka. Chciał zrobić dla ludzi coś dobrego. Chciał ratować, nie niszczyć. Bardzo ją kochał. Serce pękało mu z bólu, kiedy patrzył na jej cierpienia.

Luke pokiwał głową. Poznał tę straszliwą chorobę z bliska. Jego ojciec zmarł na raka jelit. Jednak nie miał ochoty rozmawiać o swojej przeszłości i bólu, jaki w nim wywoływała. To było jego jarzmo i sam je musiał nieść. Na nim też ciążyła obietnica, którą dał ojcu. Obietnica złamana...

Wbił pusty wzrok w swoją filiżankę. Jakże chciałby teraz

zanurzyć twarz w dłoniach, uzalić się nad sobą. To jednak niczego by nie zmieniło. Musiał żyć dalej, ze świadomością tego, co zrobił. Codziennie patrzeć na swoje odbicie w lustrze i codziennie nim gardzić.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Maggie.

Twarz Luke'a momentalnie przybrała maskę obojętności.

- Naturalnie.

Patrzyli na siebie, nie odrywając wzroku. W bladoniebieskich oczach Maggie mieniły się zielone iskierki. Ach, te jej niesamowite, ciągle zmieniające się oczy!

- Na pewno? - Nie dawała za wygraną. - Wyglądasz, jakby coś nie dawało ci spokoju.

- To przez tę sprawę - odparł.

- Rozumiem - rzekła, ani przez chwilę nie przestając patrzeć mu w oczy.

Tak bardzo chciał jej dotknąć. Siedzieli tuż przy sobie, niemal stykając się ramionami. Wystarczyło podnieść rękę, pogłodzić ją po policzku i doświadczyć tego cudownego emanującego z jej twarzy ciepła. Nie zrobił tego jednak. Sięgnął po filiżankę i upił mały łyk gorzkiego naparu. Prowadzone śledztwo było zbyt ważne. Nie mógł pozwolić, żeby jakaś piękna kobieta rozpraszała jego uwagę. Zwłaszcza ta, której bezpieczeństwa zobowiązał się strzec.

Rey-Star Investigations mieściło się w wysokim, górującym nad miastem punktowcu. Maggie wjechała windą na dziewiąte piętro. Do gabinetu Luke'a prowadziły podwójne oszklone drzwi.

W recepcji za mahoniowym biurkiem siedziała niebieskooka blondynka. Wpatrywała się w ekran komputera, nadymając

w skupieniu zabójczo czerwone usta. Robiła oszałamiające wrażenie - sweterek, w tym samym rzucającym się w oczy odcieniu co szminka, ciasno opinał krągłe kształty.

Fakt, że taka lalunia pracowała dla Luke'a, zasiał w sercu Maggie niepokój. Chrząknęła, żeby zwrócić na siebie uwagę recepcjonistki. Blondynka podniosła wzrok i, ku jeszcze większej irytacji Maggie, błysnęła w uśmiechu olśniewająco białymi zębami. Maggie nie miała wątpliwości, że sypia z Lukiem przy każdej nadarzającej się okazji, a wita ją tak słodko, bo nie widzi w niej żadnego dla siebie zagrożenia. To jasne, że Luke nie jest tak samotny, jak się wydawało.

- Czy mogę w czymś pomóc, panno Connelly? - zapytała recepcjonistka.

- Bardzo proszę - odparła Maggie. Nie zdziwiła się, że została rozpoznana. - Czy zastałam pana Starwinda?

- Powiem, że pani przyszła.

Po chwili Maggie została zaprowadzona do gabinetu Luke'a. Stał przy oknie, wpatrując się w panoramę miasta za szybą. W pokoju znajdowało się hebanowe biurko, skórzane fotele i barek na wysoki połysk. Na wąskim marmurowym stoliku stał zastygły w locie orzeł z brązu. Kamień i metal, pomyślała Maggie, gustowny męski detal.

Luke odwrócił się, napotykać jej spojrzenie. Ubrany od stóp do głów na czarno robił równie imponujące wrażenie, co jego otoczenie.

Przeniósł wzrok na recepcjonistkę.

- Dziękuję ci, Carol.

Blondynka skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi.

Luke i Maggie patrzyli na siebie przez niekończącą się chwilę.

- Niczego sobie laleczka - odezwała się w końcu Maggie.

Luke odszedł od okna i usiadł na krawędzi biurka.

- Kto? Carol?

Tak, Carol, pomyślała. Dlaczego on udaje, że nie wie, o co chodzi?

- Nie wiedziałam - dodała głośno - że gustujesz w takich biuściastych blondynach.

Luke skrzyżował ramiona i zacisnął wargi.

- Kobiety zwracają uwagę na siebie nawzajem - dodała nie speszona. - W tej materii jesteśmy dość spostrzegawcze.

- Doprawdy? No to co takiego w niej zobaczyłaś?

Maggie zdjęła płaszcz i zarzuciła go na oparcie krzesła.

- No cóż... - Podeszła do barku i nalała sobie wiśniowej coli. Zakręciwszy lodem w szklaneczce, upiła mały łyzeczek. - Carol robi sobie długie przerwy na lunch, spryskuje się tanimi perfumami, a w chłodne zimowe wieczory pilnuje, żeby jej szef się nie nudził. Iloraz inteligencji przeciętny. Kupuje więcej ciuchów, niż pozwala jej stan konta.

Luke dotknął palcami podbródka, tak jak ktoś, kto próbuje się skupić.

- To bardzo interesujące, ale nie ma w tym ani cienia prawdy. Przede wszystkim Carol jest bardzo pracowita. Po drugie, większości perfum, tanich czy nie, nie znosi, bo boli ją od nich głowa. Poza tym jest błyskotliwa, skromna i szczęśliwa w małżeństwie, a jej mąż ją uwielbia.

Maggie miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- I pewnie mają dzieci?

Skinał głowę.

- Dwóch małych chłopców. Ma ich zdjęcia na biurku, ale tego nie zauważyłaś. Nie zwróciłaś też uwagi na brak jakiegoś szczególnego zapachu perfum czy złotą obrączkę na palcu.

Czując się pokonana, Maggie usiadła na fotelu.

- Kiepski ze mnie detektyw, prawda?
- Fatalny.

Skrzywiła się. To wszystko przez zazdrość, uczucie dla niej zupełnie nowe.

- Przepraszam - wydusiła z siebie. Pomyślała, że przeprosiny należą się też Carol.

Luke wzruszył tylko ramionami i zapadła krępująca cisza. Chyba źle się do tego zabrała, ale nie traciła nadziei, że jeśli nie dzisiaj, to już wkrótce znajdzie sposób, żeby Luke się uśmiechnął.

- Będę pracować z tobą tu w biurze? - zagadnęła.
- A nie masz przypadkiem egzaminów w tym tygodniu?
- Mogę przyjść po egzaminach.
- Zatem zapraszam cię do skorzystania ze starego biura

Toma.

- Dziękuję.

Była trochę zawiedziona jego protekcyjnym tonem, ale przyzwyczaiła się już. Nikt, nawet w jej rodzinie, nie traktował jej do końca poważnie. Przyglądała mu się w zamyśleniu. Wcześniej czy później ten ponury detektyw pozna się na niej i zobaczy, na co ją stać.

- Jaki jest twój typ, Luke?
- Co proszę? - Zamrugał oczyma, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.
- Jakie kobiety ci się podobają?

Przytrzymał jej wzrok, aż krew w niej zawrzała. Pasowali do siebie idealnie, pomyślała. Był dla niej prawdziwym wyzwaniem. Nikt dotąd nie wzbudził w niej takiego zainteresowania. Byli sobie potrzebni.

- Nie mam określonego typu - odparł ze spokojem.
A właśnie że masz, pomyślała. Ja jestem w twoim typie.

Praca detektywa w niczym nie przypomina tego, co pokazują w telewizji. Żadnego deptania po piętach złym facetom, czajenia się za rogiem w długim płaszczu ani strzałów z okna pędzącego auta podczas pościgu za bandytami. Taki wniosek nasunął się Maggie, kiedy przekopywała się przez sterty dokumentów.

Było sobotnie popołudnie. Na dworze spadł pierwszy śnieg, a ona i Luke, w jego domu, ślęczeli nad segregatorami, porządkując informacje dotyczące wszystkich tych, którzy mogliby mieć cokolwiek wspólnego z mafią Kellych. Luke szukał kogoś, kogokolwiek, kto mógłby być zainteresowany skradzionymi plikami. Określenie potencjalnego nabywcy - twierdził - może ich doprowadzić do zdrajcy w Altarii.

- Ale przecież te pliki są zakodowane - zauważyła Maggie.
- Jak w takim razie mogą je sprzedać?

- Szyfr można złamać. Nie jest to proste, ale nie niemożliwe. Kelly próbowali się dostać do programu kodującego w systemie komputerowym Connelly Corporation, ale im się nie udało.

- Czy policja w Chicago wie o tym rakotwórczym wirusie? Rafe im nie powiedział, kiedy aresztowali Kellych?

- Nie - odparł Luke. - Nie było takiej potrzeby. Powiedział policji, że Kelly ukradli cenne dane dotyczące prac nad lekarstwem na raka. Im mniej ludzi zna prawdę, tym lepiej. Międzynarodowy rozgłos mógłby tylko nam zaszkodzić.

- A może wyślesz do Altarii tajnych agentów? - zasugerowała. - Przydałby się ktoś zaufany na miejscu.

- Już to zrobiłem - powiedział Luke, nie przestając wklepywać danych do laptopa. - Wysłałem paru chłopaków z woj-

ska. Służyliśmy kiedyś razem. Obsadziłem zamek i Rosemere Institute. Mam też człowieka w przedziałni.

Maggie pomyślała o CD-ROM-ie, który przypadkiem dostał się w jej ręce. Gdyby tamci odkryli swoją pomyłkę, jej życie byłoby zagrożone. Rozumiała, w co się wpakowała, i tym bardziej doceniała fachowość i determinację Luke'a.

- A więc masz wszystko pod kontrolą.

- Staram się uprzedzać ich działania, być zawsze o krok do przodu. - Rozmasował sobie barki, o mały włos nie uderzając jej w ramię. Ledwo mogli się zmieścić przy jednym biurku.

- Niestety, ludzie, których posłałem do Altarii, nie wpadli jeszcze na żaden trop.

Odwrócił ku niej twarz. Była tak blisko, że widziała każdy szczegół na jego skórze: niewielką bliznę przy lewej skroni, cień zarostu na brodzie. Kusiło ją, żeby go dotknąć, pogładzić po tych wystających kościach policzkowych. Rysy jego twarzy fascynowały ją jako artystkę. Jako kobieta natomiast nie mogła nie ulec jego męskiemu urokowi.

- Muszę powiedzieć ci coś o księciu Marku - powiedział Luke.

Maggie wyczuła, że nie będzie to nic miłego. Książę Mark był czarującym, pełnym fantazji playboyem. Będąc jedną z najlepszych partii w Europie, zmieniał kochanki równie często, jak narzeczone. Miał nieślubną córkę, do której się przyznawał, ale jako ojciec, niestety, się nie sprawdził. Pomimo to Maggie kochała go. Należeli przecież do tej samej rodziny.

- Książę Mark miał powiązania z rodziną Kellych - oznajmił Luke.

Maggie patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jej wujek, niepokojny duch, książę - zamieszany w przestępczość zorgani-

zowaną? Człowiek, do którego ją często porównywano w mediach? Poczła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

- Jakiego rodzaju powiązania?

- Był im winien pieniądze. Zżerały go karciane długi - westchnął Luke. - Podejrzewamy, że brał udział w tej przemytniczej aferze.

- To niemożliwe! - Maggie zerwała się na równe nogi i zrobiła parę nerwowych kroków. - Przecież zginął na łodzi, zamordowany razem z królem.

- Zastanów się, Maggie. W tym dniu wcale go tam miało nie być. Zdecydował się płynąć w ostatniej chwili. To nie on był celem.

Maggie stanęła w miejscu.

- Jak to się według ciebie stało?

- Księżę chciał wyjść z długów, więc zawarł układ z rodziną Kelly. Tak naprawdę myślę, że chcieli zabić króla Thomasa, by Mark, którym mogli z łatwością manipulować, zajął jego miejsce. Ale przypadkowo zabili i Marka.

- Co dowodzi, że wujek nie wiedział nic o planowanym zamachu na króla. Ale ktoś w zamku wiedział. Ktoś, kto zdradzał Kellym miejsca pobytu króla, i ktoś, kto wskazał zabójcy łódź.

Zamrugała powiekami, powstrzymując łzy cisnące się jej do oczu. Nie chciała, żeby Luke widział, że płacze. Król Thomas był jedyną osobą, która ją naprawdę rozumiała. Dostrzegał, jak bardzo starała się zasłużyć na uznanie rodziny.

Lekkomyślna Maggie. Szalona artystka. Rozpuszczona córeczka bogatych rodziców. Nikt nie zdawał się zauważać, że studiowała jednocześnie na dwóch kierunkach: zarządzanie i sztukę. Cholera! - pomyślała rozzalona. Brakowało jej jego mądrego wsparcia.

Maggie powiedziała wzrokiem po zawalonym papierami biurku. Tyle pracy, a do tego miała jeszcze na głowie egzaminy końcowe na uczelni. Luke rozmasował sobie skronie i ponownie zabrał się do pracy na laptopie. Twarz miał napiętą i zmęczoną. Też ciężko pracował. Ale za to nigdy nie odpoczywał. Nie pozwalał sobie na żadną radość.

Popatrzyła na piękny zimowy pejzaż za oknem. Taki ładny dzień! Spadł śnieg, zgodnie z przewidywaniami Luke'a.

- Wynośmy się stąd - powiedziała. - Odłóżmy te papiery i chodźmy ulepić bałwana.

Takiego z dużym nosem z marchewki i uśmiechem z gałązek, dodała w myślach.

Luke popatrzył na nią z naganą w oczach.

- Nie zamierzam tracić czasu na jakieś bzdury. Muszę się trzymać planu.

Maggie odeszła od okna, ale nie dawała za wygraną.

- A lunch? Nie powiesz mi, że nie musisz jeść.

Wzruszył ramionami.

- No to chodźmy - zakomenderowała.

Luke zgodził się, aczkolwiek niechętnie, na godzinną przerwę na lunch. Ale ani minuty dłużej!

Maggie zapięła płaszcz i wsunęła na ręce parę rękawiczek z koźlecej skórki. Luke sięgnął po skórzaną kurtkę i przygładził palcami włosy. Kiedy znaleźli się na dworze, zamknął drzwi na klucz i poszedł przodem do swojego dzipa. Maggie przykłękała i szybko uformowała kulę ze śniegu. Podniosła się, wycelowała i rzuciła nią w Luke'a. Kula trafiła go w plecy.

Odwrócił się gwałtownie i zaklął.

- Do diabła! Upuściłem kluczyki. - Rozgarniał nogą świeży puch. - Teraz muszę ich szukać.

Triumfalny uśmiech zniknął z twarzy Maggie. Zaproponowała pomoc, chociaż z drugiej strony nie widziała żadnego problemu. Pod cienką warstewką śniegu będzie je łatwo znaleźć. Zrzęda z niego i tyle!

Odwróciła się do niego plecami, chcąc poszukać w innym miejscu, a wtedy ogromna bryła śniegu wylądowała na jej głowie. Zaskoczona, odgarnęła śnieg z twarzy i spojrzała w stronę, skąd dobiegł brzęk kluczyków. To Luke potrząsał jej nimi nad głową, uśmiechając się szelmowsko.

- Masz za swoje - powiedział, ostentacyjnie wrzucając klucze do kieszeni.

- Ach, tak? - Pragnęła objąć go i uściskać ze wszystkich sił, ale przygotowała już kolejną kulę i zamierzyła się na niego.

Luke zrobił unik i skrył się za samochodem. Wojna się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Skradając się cicho, Maggie stanęła z tyłu dżipa i zerknęła na drugą stronę. Po Luke'u nie było ani śladu. Ona sama natomiast była cała w śniegu. Luke'owi udawało się ją przechytrzyć za każdym razem.

Gdzie on się podział? Wszedł pod samochód? Przyczaił się za którymś kołem? Miała przygotowany cały arsenał kul ze śniegu i tylko czekała, aż gdzieś wychynie ta jego przebiegła gęba. Nie podda się. Tak czy inaczej, musi wygrać. Faceci, pomyślała z błyskiem w oku, to urodzeni frajerzy.

- Nie bawię się już! - krzyknęła. - Zimno mi. Jedźmy!

Nie przestawała przy tym dyskretnie rozglądać się wokół samochodu, ściskając w dłoni gotową kulę.

- Luke! - zawołała znowu. - To przestało być zabawne. Jestem zmęczona, a ty masz klucze od domu.

- Niezły plan, księżniczko - usłyszała za sobą niski męski głos.

Odwróciła się i ujrzała Luke'a gotowego wyrzucić na nią całe wiadro śniegu. Podskoczyła z piskiem i, trzymając swoją amunicję, rzuciła się do ucieczki. Luke ruszył w pościg. Biegali wokół drzewa, to w tę, to w drugą stronę, zaśmiewając się jak I

dzieci. Maggie rzuciła w niego kulą, ale chybiła. Kula przeleciała tuż nad jego ramieniem i rozprysła się na drzewie, zostawiając na korze białe, iskrzące ślady.

Luke zbliżał się powoli, podnosząc znacząco wiadro i dając jej szansę ucieczki. Tym razem jednak Maggie go zaskoczyła. Zamiast uciekać natarła na niego, próbując wytrącić mu broń z ręki. Całym ciężarem uderzyła w niego. Luke stracił równowagę i pociągnął ją za sobą. Poturlali się po śniegu jak dwa bałwany. Kiedy się wreszcie zatrzymali, Luke był na górze, a Maggie z trudem łapała oddech pod jego ciężarem. Wokół fruwały puszyste płatki śniegu.

Nie zdejmując rękawiczki, delikatnie otrzepał jej śnieg z policzków.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nie.

Teraz ona dotknęła jego twarzy. Przeczesała mu palcami włosy i przetarła mokre czoło. Ich spojrzenia się spotkały i trwali tak w milczeniu dłuższą chwilę.

Pomyślała, że może jej się to śni. Taki sen na pograniczu rzeczywistości. Mogłaby teraz za nim rozbłysnąć tęcza i przeciąć kolorowym łukiem grudniowe niebo. Wyszeptał jej imię, a tęcza zalsniła drogimi kamieniami i z nieba posypały się diamenty, rubiny i szmaragdy.

Poruszyli się dokładnie w tej samej chwili. Maggie przyciągnęła go ku sobie, a on pochylił się ku niej. Nie zważając na chłodne porywy wiatru, zaczęli się zachłannie całować. Smakował jej wargi, chwycił zębami, językiem penetrował usta. Przytrzymał jej ręce, biorąc ją całą w posiadanie.

Maggie pragnęła, żeby Lucas Starwind należał tylko do niej. Były w nim żywoły wody i ognia. Lód topniał w zetknięciu

z wysokim płomieniem świecy. Z każdym pocałunkiem mieli ochotę na więcej, przenikając się nawzajem i obdarowując.

Zapamiętali się tak, że zapomnieli o całym świecie. Ciasn spleceni, oczyma wyobraźni odprawiali miłosny rytuał, a ic ciała posłusznie poddawały się jego rytmowi.

Niespodziewanie ktoś trzasnął drzwiami od samochodu. Luke odszedł, stracił kontrolę.

- Dostaniesz zapalenia płuc - powiedział, niezgrabnie zapinając jej guziki płaszcza.

To chyba raczej niemożliwe, odpowiedziała w myślach. Miała wrażenie, że z gorąca topi się jak воск. Najchętniej oblepiłaby go całą sobą, ale czar chwili prysł. Luke był znowu sobą - spięty i niedostępny.

- Chodź. - Wziął ją za rękę i postawił na nogi. - Potrzebna ci gorąca kąpiel. I coś do zjedzenia.

Nie protestowała. Nawet miło jej było pod opieką tego wielkiego, męznego detektywa. Wziął ją na rękę i zaniósł do domu. Chwilę zajęło mu znalezienie odpowiedniego klucza. Kiedy prznosił ją przez próg, Maggie położyła mu głowę na ramieniu, a potem przywarła ustami do jego szyi. Luke wciągnął nerwowo powietrze, a ona uśmiechnęła się do siebie.

Postawił ją w łazience, gdzie czekała na nią wbudowana w podłogę wanna. Ogromne, ciemnozielone wnętrze, otoczone zewsząd wysłużonymi starymi meblami. Czując się bezwolna jak miękka, szmaciana lalka, pozwoliła, żeby zdjął jej płaszczyk.

- Rozpalisz w kominku? - zapytała, pragnąc, żeby rozebrał ją całą, ale, oczywiście, poprzestał na płaszczyku.

- Tak. Podgrzeję też zupę z puszeki.

- Dziękuję. - Pocałowała go delikatnie w policzek, wyczuwając, że drży. - Ty też jesteś zimny - zauważyła.

- Wysuszę się w drugiej łazience. - Wycofując się, rzucił jej ręcznik.

Pomyślała w rozmarzeniu, jak miło jej będzie używać jego mydła, kiedy jej wzrok padł na aksamit, wiszący na drzwiach.

- Luke, czy mogę nałożyć twój szlafrok?

- Co? - Powędrował za jej spojrzeniem i zmarszczył brwi.

- Nie - odparł nienaturalnym głosem. - Przyniosę ci spodnie i bluzę od dresów.

- W porządku - zgodziła się jak gdyby nigdy nic. Kiedy wyszedł, postanowiła, że jednak go włoży. Chociaż na chwilę, żeby poczuć, jak pieści jej nagą skórę.

Luke umył twarz, wysuszył ręcznikiem włosy i włożył na siebie koszulkę oraz wygodne, stare dżinsy. Ułożył drewno i rozpałił w kominku, a następnie przeszedł do kuchni, żeby podgrzać zupę. Starał się nie myśleć o Maggie, która moczyła się teraz w wannie - naga, gładka, o cieplej, zarumienionej skórze.

Tam na śniegu zachowywał się jak rozbrykany dzieciak, dając się wciągnąć w jej szalone gierki. Co więcej, zupełnie stracił nad sobą kontrolę. Całował ją bez pamięci, rozpalając zmysły aż do bólu.

Przelał zupę do garnka, odmierzył i dolał wymaganą ilość wody. Maggie nie mieściła się w żadnych ramach. W ogóle nie powinno być o niczym mowy. Brakuje mu jeszcze tylko, żeby zaangażował się w związek z kobietą, która mogłaby być jego córką. Rzadko utrzymywał kontakty z kobietami, a jeśli już się to zdarzało, to tylko z dojrzałymi partnerkami, takimi, które rozumiały, że ich relacje ograniczały się wyłącznie do seksu.

Z drugiej strony, czy można podejrzewać, że ta rozemocjonowana, pełna szalonych pomysłów Maggie myśli o związku na całe życie? Widział przecież jej zdjęcia w kronikach towarzyskich, z dwudziestoparoletnim włoskim rajdowcem u boku. Zastanawiające, co widzi w nim - oschłym, dobiegającym czterdziestki prywatnym detektywie?

- Luke?

Na dźwięk jej głosu wyprostował się i odwrócił. Stała w progu ze świeżo umytymi, zaczesanymi do tyłu włosami i błyszczącymi niebieskozielonymi oczyma. Patrzył na nią spod przy-mrużonych powiek, zastanawiając się, co też ona teraz wymyśli. Czym go zaskoczy? Jak to możliwe, żeby wyglądać tak zachwycająco w zwyczajnych szarych dresach? W dodatku należących do niego.

- Ładnie pachnie - zauważyła.

- Już gotowe - rzekł, sięgając po filiżankę. - Chcesz do tego krakersy?

Skinęła głową, a on wyjął pudełko z szafki. W chwilę potem siedzieli przed kominkiem, jedząc zupę pomidorową. Płomienie tańczyły na kamiennym palenisku, rozświetlając pokój migotliwym, złotawym blaskiem.

- Powiedz mi, co wtedy do mnie mówiłeś, Luke - odezwała się Maggie, patrząc na niego rozmarzonym wzrokiem.

Nie rozumiejąc, potrząsnął głową.

- A o czym mówisz?

- Kiedy tańczyliśmy na przyjęciu weselnym Rafe'a. Powiedziałeś coś do mnie. Coś w języku Czirokezów.

Luke starał się nie dać po sobie poznać, jak poruszyło go to wspomnienie. *A qua da nv do*. Nigdy nie zapomniaby ani tych słów, ani chwili, kiedy je wypowiadał.

- Nie przypominam sobie - rzekł.

Maggie nachyliła się w jego stronę. Siedzieli po turecku na dywanie, niecały metr od siebie. Jej włosy już podeschły. Siedziała skapana w bursztynowej poświacie - młoda i delikatna.

- Ależ musisz pamiętać. Tak to ładnie zabrzmiało. Nie umiem tego powtórzyć, ale mam to w głowie.

- Przykro mi, ale nie pamiętam.

Spuściła oczy, a on posmutniał. Wiedział, że tym kłamstwem sprawił jej przykrość.

- Kupiłam książkę o Czirokezach - powiedziała. - Czytałam o twoich przodkach. Fascynująca kultura. Piękna, godna podziwu.

Luke postawił pustą filiżankę na półce nad kominkiem.

- Jestem tylko w połowie Czirokezem - powiedział, a w myślach dodał: I nie jestem ani piękny, ani godny podziwu. Czuł na sobie jej badawczy wzrok. Przyglądała się jego twarzy - siatce zmarszczek wokół oczu, nosowi, złamanemu w najgorszym dniu jego życia, twardej jak granit szczękę.

- Niemniej to wciąż jest twoje dziedzictwo, Luke.

- A więc kupiłeś tę książkę ze względu na mnie?

- Tak. - Przerzuciła włosy na jedną stronę. - Wzruszyłam się, czytając rozdziały o Szlaku Łez. Ci wszyscy ludzie zmuszeni do opuszczenia swojej ziemi, głodni i przemarznięci, umierający po drodze...

Coś w nim nieomal pękło. W pewnym sensie użalała się i nad nim.

- Jestem Czirokezem ze Wschodniego Pasma. Moi przodkowie, żeby uniknąć wysiedlenia, ukrywali się w Great Smoky Mountains.

Na mężczyzn, kobiety i dzieci polowano jak na dzikie psy, ale przypuszczał, że Maggie już o tym czytała.

- Gdzie mieszkają twoi rodzice? - zapytała głosem drżącym z emocji.

- Mój ojciec nie żyje.

- Przykro mi.

Maggie zapatrzyła się w ogień i przez chwilę zaległa cisza.

- Czy twoja mama mieszka gdzieś blisko?

- Nie. Mieszka na wsi.

W tym samym domu, gdzie dorastał. Na tej samej farmie, gdzie kiedyś porwano dziecko.

- Jak wygląda?

Jak kobieta, która straciła wszystko, co miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał.

- Ma jasną karnację. Jej włosy mają srebrzystoszary kolor. Kiedyś były brązowe.

Maggie uśmiechnęła się.

- Założę się, że jest ładna.

- Tak twierdził ojciec - powiedział Luke przez ściśnięte gardło.

Maggie dokończyła zupę i postawiła swoją filiżankę obok jego. Rozprostowawszy nogi, podkuliła kolana.

- Masz jakieś rodzeństwo?

Pytanie uderzyło w niego jak pięść. Napiął mięśnie brzucha, żeby złagodzić cios.

- Nie - odparł beznamiętnie. - Już nie.

Następnego ranka obudził Maggie dzwonek telefonu. Rozsunęła moskitierę rozciągniętą nad łóżkiem i ledwie otwierając oczy spojrzała na zegarek. Jęknęła i nieomal zrzuciła telefon ze

stolika. Kto dzwoni do niej o piątej rano w niedzielę? I to na prywatną linię?

- Lepiej niech to będzie coś ważnego - rzuciła w słuchawkę.
- Mówi Luke.

Dźwięk jego głosu przyprawił ją o dreszcz. Wczoraj nosiła po domu jego dresy. A potem, czując potrzebę jego bliskości, położyła się w nich spać. Miękka frotowa tkanina pieściła jej skórę niczym ciepłe, męskie dłonie. Jego dłonie, myślała, nasłuchując oddechu w słuchawce.

- Co się stało? - zapytała, siłąc się na oficjalny ton. Nie dzwoniłby o tej porze, gdyby nie chodziło o sprawy służbowe.
- Jakiś przełom w sprawie?

- Nie. Odebrałem z lotniska twojego ochroniarza. Właśnie do ciebie jedziemy. Byłoby dobrze, gdybyś wstała i zrobiła kawę. Od dzisiaj będzie z tobą mieszkał.

Maggie zerwała się z łóżka. Ochroniarz? Pomimo bogactwa i publicznego rozgłosu, jaki był udziałem jej rodziny, robiła, co tylko mogła, żeby wieść normalne życie. Żadnych pokojówek, szoferów, kucharzy czy ochroniarzy. Mieszkanie sprzątała sama. Sama też przyrządzała swoje posiłki i prowadziła samochód. Co prawda, jej mieszkanie szacowano na dwa miliony dolarów, jedzenie kupowała u najdroższych dostawców, a jej samochód, lamborghini, pochodził z limitowanej serii, ale jednak radziła sobie sama.

- Chyba nie chcesz, żeby mi się kręcił po mieszkaniu jakiś napakowany osiłek. Mam najlepszy z możliwych system alarmowy i żaden ochroniarz mi niepotrzebny.

- To ty tak uważasz. Twój brat zgodził się ze mną, że Bruno powinien ci towarzyszyć do czasu, gdy ta sprawa zostanie zamknięta.

No tak, powinna od razu się domyślić, że Rafe maczał w tym palce. Jemu i Luke'owi zawsze się wydaje, że Maggie jest jakimś bezradnym kobieciątkiem.

- A kto mu dał takie głupie imię? - ironizowała, wyobrażając sobie pozbawionego szyi mięśniaka, strzegącego wejścia do jej mieszkania.

- Widziałem Bruna w akcji i zdania nie zmienię. Zobaczymy się za piętnaście minut, a jeśli nas nie wpuścisz, to się włamiemy i wtedy dopiero okaże się, ile wart jest ten twój system alarmowy. Kamery przy wejściu oczywiście też nie masz.

Maggie była tak wściekła, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Chodziła po pokoju w tę i z powrotem, odgrażając się w myślach. To się tak nie skończy! Odegra się na Luke'u. A dla Bruna będzie to najgorsze zlecenie w życiu.

Umyła twarz, wyszczotkowała włosy, ale nie miała najmniejszego zamiaru przebierać się ani parzyć kawy. Zachciało mu się świeżo parzonej, niech spada do Kolumbii i tam sobie nazbiera.

W ciągu kwadransa Luke i Bruno byli na miejscu. Po usłyszeniu dzwonka Maggie wcisnęła przycisk na pilocie i otworzyła bramę przy wjeździe na podziemny parking. Zaraz potem wyskoczyła z mieszkania i stanęła na wprost windy. Budynek był dostosowany do jej potrzeb. Samej windy nie zmieniała, bo lubiła rzeczy w starym stylu. Słysząc było, jak wjeżdża na górę, zatrzymuje się i wreszcie drzwi się rozsunęły.

Bruno okazał się psem! Największym, jakiego w życiu widziała.

- To jest mój ochroniarz?

Luke wyprowadził bestię z windy.

- Nie takiego się spodziewałaś?
- Czemu pytasz? Dobrze wiesz, że myślałam, że to facet - zachnęła się Maggie.

- A niby po co miałbym płacić jakiemuś gościowi, żeby z tobą zamieszkał? Równie dobrze sam mógłbym to zrobić.

No właśnie, skomentowała w myślach Maggie i zaczęła przyglądać się psu. Był duży i potężnie zbudowany - mierzył około osiemdziesięciu centymetrów, ale ważył chyba z pięćdziesiąt kilogramów. Sierść krótka, płowa, tylko pysk i uszy miał ciemne.

- Co to za rasa?
- Angielski mastiff.

Maggie zwróciła uwagę na poważny wyraz pyska Bruna. Nie wyglądał na psa, który przewraca się na grzbiet i z łapami w górze czeka na drapanie po brzuchu. Poklepała pieszczotliwie wielki łeb. Już ona go rozweseli i nauczy paru prostych psich sztuczek. Wkrótce przestanie być takim sztywniakiem.

- Nie stójmy tu w holu - powiedziała, robiąc zapraszający gest.

Pierwsze, na co Luke zwrócił uwagę w jej mieszkaniu, to rozjaśnione niebo za oknem. Delikatne światło rozświetlało sufit, skąd po całym pokoju rozchodziły się lawendowe smugi.

Wnętrze nowoczesne, a przy tym zdecydowanie kobiece. Na wystrój salonu składały się różnorodne materiały dekoracyjne: od białych, przezroczystych jedwabi po ręcznie rzeźbione i zdobione drewno. W glinianych donicach pyszniły się bujne rośliny. Stopiony wosk skapywał z perfumowanych świec. Bieleła się surowa dębowa podłoga. Jedna ze ścian była cała pokryta malowidłem przedstawiającym syreny wyłaniające się z morza. Syreny przy świetle księżyca. Kiedy patrzył na nie, wydawało

mu się, że spływa na niego jakiś dziwny czar. Instynkt podpowiadał mu, że namalowała je Maggie.

Odwrócił się do niej, ale nie zwracała na niego uwagi. Była zajęta Brunem.

- Czy przechodził jakieś specjalistyczne szkolenie? Startował w jakichś zawodach?

- Nie, ale potrafi zachować się w najprzeróżniejszych zagrażających życiu sytuacjach. Nauczę cię kilku komend. Będzie ci bezwzględnie posłuszny. Został specjalnie przeszkolony do ochrony kobiet. Będziesz z nim bezpieczna.

- Umie aportować? - zapytała Maggie, nie przestając przyglądać się psu.

Luke z wrażenia zaniemówił. Przywiózł jej jednego z najbardziej poszukiwanych i najdroższych psów obronnych, zwierzę, które doskonale odnajduje się w nowym otoczeniu, a ona chce wiedzieć, czy przynosi piłeczki?

- Bruno to pies do obrony, Maggie.

Przeczesała zwichrzoną fryzurę wypielegnowaną dłonią.

- A podaje łapę?

- To pies do ochrony osobistej - powtórzył Luke, zaciskając szczęki.

- To wiem, ale nie widzę w tym nic złego, jeśli nauczę go paru psich sztuczek. Należy mu się odrobina rozrywki.

Luke zauważył figlarne błyski w jej magicznych oczach.

- Nie waż się go rozpuścić. - Oczyma wyobraźni widział tego olbrzyma, jak waruje przy stole i żebrze o resztki z talerza.

- On ma tu pracować.

- Mam nadzieję, że wie, jak się całuje. Wszystkie psy to wiedzą.

Dobry Boże! Luke spojrzał na Bruna, który siedział wpatrzo-

ny w swoją nową panią. Uczono go, żeby nie lizał ludzi po twarzy.

- Na pewno się ślini. Czy to wystarczy?

Maggie uśmiechnęła się niczym syrena ze ściennego malowidła.

- Na początek - odparła i poszła zaparzyć kawę.

Następne trzy godziny upłynęły im na wydawaniu psu komend. Luke zaoferował, że co wieczór po pracy wpadnie, żeby pomóc przy tresurze, ale widząc zadowolenie, z jakim Maggie przystała na tę propozycję, postanowił mieć się na baczności. Żadnych przytulanków, pocałunków ani igraszek na śniegu!

- Oprowadzić was po moim królestwie? - zapytała wesoło Maggie.

- Jasne!

Mieszkanie było ogromne - ponad tysiąc metrów kwadratowych artystycznej inspiracji. Bruno miał niezliczone kąty i zakamarki do zbadania. Przechodzili z pokoju do pokoju. Pies bez przerwy węszył dookoła, ucząc się nowych zapachów.

Luke był pod wrażeniem tego miejsca, jego kolorów i aromatów. Działyły na wyobraźnię, zwłaszcza nieposłane łóżko w sypialni. W myślach widział w nim Maggie, śpiącą z rozrzuconymi włosami na satynowej poduszce.

- Chodź - wyrwała go z rozmarzenia. - Pokażę ci moje prace.

Ściany pracowni były spryskane farbą tak, jakby zrobiła to pod wpływem silnych emocji. Na podłodze pełno było artykułów malarskich, wszędzie stały płótna. Oszklone od podłogi po sufit ściany wpuszczały dużo światła do tego ogromnego wnętrza.

Prace Maggie były odzwierciedleniem jej nastrojów. Wodna

nimfa na sporych rozmiarów akwareli emanowała seksem. Z kolei portret małego smoka wydawał się powstać z chęci chwilowej zabawy. Czyste fantazje przeplatały się z postaciami z ludowych podań.

- A to moja najnowsza seria - rzekła i postawiła przed nim trzy płótna.

Luke z zainteresowaniem przyglądał się każdemu z nich po kolei. Na pierwszym był mały chłopiec o dużych, zdziwionych oczach, przyglądający się leśnemu skrzatowi. Na drugim jasnowłosego malec z elfem na ramieniu. Przed trzecim nieomal padł na kolana.

- Wygląda jak moja siostra - wyszeptał, powstrzymując się, żeby nie dotknąć tego pięknego, przejmującego i wzruszającego obrazu. Mała dziewczynka o kruczoczarnych, rozwianych włosach wyciągała przed siebie ręce, z których wylatywał mały skrzydlaty konik.

Odwrócił się ku Maggie, która patrzyła na niego w milczeniu.

- Skąd wiedziałas? - zapytał łamiącym się głosem. - Skąd wiedziałas, że pochowaliśmy ją z jej ulubioną zabawką?

A był nią mały skrzydlaty konik.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Twoja siostra? - Maggie położyła Luke'owi dłoń na ramieniu. - O mój Boże! Nie wiedziałam, że miałeś siostrę... ani... że umarła.

W takim razie o ulubionej zabawce Gwen też nie mogła wiedzieć, pomyślał Luke. Jej obraz był czystym zbiegiem okoliczności, może zapowiedzią czegoś, co wkrótce nastąpi. A może jakimś przypadkowym wątkiem, którego nie da się logicznie wytłumaczyć. Odetchnął głęboko.

- Możemy stąd wyjść? Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Oczywiście.

Winda zabrała ich na dach, gdzie Maggie urządziła sobie patio. Było tam nawet wyłożone kamieniem stanowisko do grilla, otoczone wianuszkami krzesel. Wiał lekki wiatr, a drobiny śniegu topiły się, gdy tylko dotknęły ziemi.

Luke stanął przy balustradzie, napawając oczy widokiem na jezioro. Widać było Instytut Sztuki i szklano-stalową konstrukcję biurowca Connellych. Miejski szum i odgłosy kolejki najwidoczniej nie stanowiły dla Maggie problemu.

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Zauważył, że Bruno nie odstępował jej ani na krok, co sprawiło mu niejaką ulgę.

- Opowiesz mi o swojej siostrze?

Teraz, po takiej gwałtownej reakcji na widok obrazu, nie mógł już dłużej ukrywać prawdy.

- Miała na imię Gwen. Przezywałem ją Lady Ginewra. - Serce ścisnęło mu się z żalu na to wspomnienie. - Uwielbiała legendy, bajki, baśniowy świat...

- Dlaczego umarła?

- Została zamordowana - odparł. - I to przeze mnie.

- Co ty mówisz, Luke? - odezwała się drżącym głosem Maggie i sięgnęła po krzesło.

- Ojciec przed śmiercią prosił mnie, żebym się nią zaopiekował. Miałem ją chronić. Nazywał mnie małym wojownikiem. Ale ja pozwoliłem, żeby obcy wszedł do naszego domu. Porwał ją, a potem zabił.

Maggie pobladła, a Luke usadowił się na krześle naprzeciw niej, gotowy opowiedzieć jej wszystko, każdy bolesny szczegół ze swojej przeszłości.

- Miałem wtedy dwanaście lat, a Gwen osiem. Minęły za ledwie trzy miesiące od śmierci ojca. Moja matka była w głębokiej rozpacz i wtedy po raz pierwszy zdecydowała się wyjść z domu, żeby odwiedzić przyjaciółkę, która mieszkała niedaleko.

W miarę jak opowiadał o swoich przeżyciach, coraz bardziej pograżał się we wspomnieniach, aż cofnął się do dnia, w którym jego rodzina przestała istnieć na dobre.

Gwen, w różowych spodenkach i białej bluzeczce, bawiła się na ganku. Z książeczki do kolorowania wycięła króla i królową. Zrobiła dla nich zamek z kartonowego pudła. Skrzydlaty konik był jak zwykle pod ręką, w każdej chwili gotowy, żeby poszybować w niebo. Było ciepłe popołudnie i słońce chyliło się już

ku zachodowi. Niebo nad wzgórzami przybrało czerwono-złotą barwę.

Luke wszedł do kuchni, żeby przygotować coś do jedzenia. W lodówce znalazł gotowe dania, które wstawił do piekarnika. Dla Gwen wybrał smażonego kurczaka, dla siebie zrazy. Nie przepadał za gotowym puree ziemniaczanym, ale nie miało to żadnego znaczenia. Cieszył się, że matka wyszła wreszcie z domu. Widząc jej wiecznie zapłakaną twarz, nie znajdował w sobie żadnych słów pocieszenia. Jemu też bardzo brakowało ojca.

Po jakichś dziesięciu minutach usłyszał, że Gwen rozmawia z kimś na ganku, i podszedł do drzwi. Jasnowłosego mężczyzna przykucnął tuż przy niej.

- Temu panu popsuł się samochód - rzekła Gwen, a mężczyzna podniósł się i wyprostował. - Powiedziałam, że w domu nikogo nie ma, tylko ty i ja.

Nieznajomy był wysoki i bardzo chudy. Miał kościste ramiona, wąskie biodra i bardzo jasną cerę. Luke zauważył, że brwi były równie jasne, jak jego włosy. Jak na mężczyznę wydał mu się wyjątkowo wątły i słaby.

Gwen wstała i podeszła do drzwi.

- Czy może od nas zadzwonić? Chciałby wezwać pomoc drogową, żeby go odholowali.

- Nie ma sprawy - odparł Luke. Pomyślał, że taki facet może nie znać się na samochodach, bo na mechanika na pewno nie wyglądał. A może się zgubił i głupio mu było się do tego przyznać? Do ich starej farmy wiodła tylko polna droga, a do autostrady było dobrych parę mil.

- Naprawdę bardzo dziękuję - powiedział mężczyzna.

- Nie ma za co.

Zaprowadził go do środka i pokazał, gdzie jest telefon. Tuż obok leżała książka telefoniczna.

- Niech pan zadzwoni do warsztatu Harveya. Na pewno mają holownik.

- Dziękuję. Tak zrobię.

Luke odwrócił się, żeby zobaczyć, co robi Gwen. Weszła do kuchni i rozglądała się za czymś do jedzenia. Już miał jej zwrócić uwagę, że to niegrzecznie przy obcych, kiedy z tyłu głowy poczuł rozdzierający ból. W jednej sekundzie zrozumiał, że uderzył go ten mężczyzna. Użył jakiegoś twardego przedmiotu, może nawet broni. Chciał krzyknąć do Gwen, by uciekała, ale ponownie uderzony upadł na podłogę. Uderzył twarzą o róg stołu. Z nosa popłynęła struga krwi, zalewając mu usta.

Siostra wybiegła do pokoju. Widział jej małe stopy, a w chwilę potem usłyszał jej przeraźliwy krzyk. To ostatnia rzecz, jaką pamięta, zanim ogarnęła go ciemność.

Przez moment zapanowało milczenie. Widząc bezbrzeżne cierpienie w oczach Luke'a, Maggie pragnęła go dotknąć, przytulić. Dorastała w domu, gdzie zawsze miała koło siebie kogoś spośród jej licznych sióstr i braci. Bardzo ich wszystkich kochała i trudno jej było nawet wyobrazić sobie, że któremuś z nich mogłoby się stać coś złego.

- Tak mi przykro - powiedziała Maggie.

- Dwa dni później jakiś farmer znalazł zwłoki Gwen w polu. Leżały ukryte pośród chwastów... - głos mu się załamał.

Na myśl o małej dziewczynce łzy napłynęły Maggie do oczu. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd się wzięło podobieństwo do siostry Luke'a na jej obrazie. Ta ciemnowłosa dziewczynka i jej skrzydlaty konik to tylko wytwór jej wyobraźni.

- A ja mu zaufałem i wpuściłem go do domu...

- Przecież nie mogłeś wiedzieć, że jest niebezpieczny. Ani tego, że krzywdzi dzieci.

- Policja złapała go, ale dla mnie to nie był jeszcze koniec. Składałem zeznania na jego procesie i przez cały ten czas wyobrażałem sobie, co wyprawiał z Gwen. Pragnąłem tylko jednego: zabić go.

- Odsiaduje jeszcze karę?

- Tak. We wrześniu ubiegał się o zwolnienie warunkowe. Byłem obecny na rozprawie. Musiałem mieć pewność, że drań odsiedzi swoje. - Popatrzył na miasto. - Tak czy inaczej, mam jej krew na rękach.

- Nie ponosisz winy za to, co się stało Gwen.

- Niestety, tak. Za śmierć Toma Reynoldsa też...

- Twojego partnera? - Maggie próbowała nadażyć za logiką jego rozumowania. - Kiedy zginął, nie było cię w mieście.

- I o to właśnie chodzi. Wyjechałem z miasta, żeby uczestniczyć w rozprawie, a wtedy on wpadł w zasadzkę. Nie było mnie, kiedy najbardziej mnie potrzebował.

- Nie mogłeś nic na to poradzić. Nie mogłeś być w dwóch miejscach na raz.

- I tak nie zrozumiesz, jak ja się czuję. Musiałabyś znaleźć się w mojej skórze.

Chciałaby. Chciałaby dodać mu otuchy, wlać nadzieję do jego serca. Poczwała, że drżą jej dłonie. Boże, dopomóż! Wiedziała, co się z nią dzieje. Była w nim coraz bardziej zakochana. W tym nieprzystępnym, rozdartym wewnątrz mężczyźnie.

- Zimno ci? - zapytał.

Zamrugała powiekami.

- Co?

- Drżysz.

- Nie lubi miasta?
- Cierpi na agorafobię.
- Boi się otwartych przestrzeni?
- Jej przypadek jest trochę bardziej skomplikowany. Boi się miejsc, które mogą w niej wywołać panikę, miejsc z dala od domu.

- Czemu?

- Nie jestem pewny. Może dlatego, że nie było jej w domu, kiedy porwano Gwen. Czuje się bezpieczna tylko tam, gdzie powinna była zostać tamtego dnia.

- Wychodzi dokądkolwiek?

- Rzadko, ale nigdy nie oddała się zbyt daleko od domu. Ma kogoś, kto dotrzymuje jej towarzystwa, robi zakupy i załatwia różne sprawy. - Luke spojrział na zegarek. - Muszę już iść. Przede mną długa droga. - Poklepał psa po grzbiecie. - Bez Bruna nigdzie się nie ruszaj.

- Dobrze.

Odprowadziła go do wyjścia i patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi windy. Chociaż bardzo chciała, nie miała odwagi wyznać mu miłości.

Wróciwszy do mieszkania, od razu podeszła do obrazu, który zrobił na Luke'u tak wielkie wrażenie. Przyglądała się uważnie dziewczynce, która wyglądała jak Gwen, i maleńkiemu konikowi, wyfruwającemu z wyciągniętych dziecięcych rąk. Miała jeszcze w pamięci każde pociągnięcie pędzla, które sprawiało, że te delikatne skrzydełka zaczynały ożywać.

- Czy to ty, Gwen? - zapytała, czując, że łzy napływają jej do oczu. - Może wkradłaś się w moją podświadomość, bo chciałaś, żebym zakochała się w twoim bracie? Żebym dotarła do jego serca? Uleczyła mu duszę?

Ale jak się do niego zbliżyć? Jak go przekonać, że są sobie przeznaczeni?

- Coś wymyślę - powiedziała do siebie. - Luke musi być mój.

W poniedziałek rano Maggie, ubrana w szafirowy kostium i złotą biżuterię, udała się do Rey-Star Investigations. Bruno, niczym ogromny futrzak, kroczył tuż obok. Kupiła mu wysadzane kamieniami obroże, w której bardziej przypominał psiego pupila niż psa ochroniarza.

Carol spojrzała na nich znad ekranu komputera i uśmiechnęła się.

- Witam, panno Connelly. Cóż to za przystojniak pani towarzysz?

Maggie przedstawiła psa i wyjaśniła, jak do niej trafił.

- Mogę go pogłaskać?

- Ależ oczywiście.

Carol wyszła zza biurka, zachwycając się psem i poklepując go przyjaźnie, co Bruno przyjął z ogromnym zadowoleniem.

Chwilę później Maggie weszła do gabinetu Luke'a i uśmiechając się radośnie, zdjęła okrycie.

- Dzień dobry.

Luke spojrział w jej stronę, lustrując ją od stóp do głów.

- Spóźniłaś się - rzekł.

- Bruno chciał sobie dłużej pospać.

- Bardzo śmieszne. - Rzucił okiem na psa. - W przyszłości chcę, żebyście byli punktualni. A teraz idź do swojego biura i bierz się do pracy.

Maggie z niechęcią pomyślała o papierach na biurku.

- Najpierw napiję się herbaty.

Spuściła Bruna ze smyczy, po czym podeszła do barku, przekreśliła czerwony kurek i napełniła filiżankę wrzątkiem. Szybko przejrzała rodzaje herbat, jakie Luke miał pod ręką dla klientów, i wybrała rumiankową, licząc, że może tym sposobem ukoić skołatane nerwy. Tej nocy prawie nie zmrużyła oka, obmyślając różne strategie działania. Ale wreszcie miała swój plan i już dzisiaj zamierzała wprowadzić go w życie.

Posłodziła herbatę i usiadła, zakładając nogę na nogę. Przyglądała się Luke'owi znad filiżanki. Były komandos, dojrzały facet, o wysokich kwalifikacjach, świetnie wyszkolony. Można podziwiać jego wojskową przeszłość. Rzeczywiście zdobyte doświadczenie bardzo pomaga mu w pracy. Z drugiej jednak strony na gruncie cywilnym niełatwo się z nim porozumieć.

Luke był ekspertem w niekonwencjonalnych sposobach walki. Dlatego i ona zastosuje nietypowy wybieg. Wszak w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Postawiła filiżankę na błyszczącym, czarnym blacie jego biurka.

- Chciałabym zawrzeć z tobą układ.
- Jak przypuszczam - zachnął się Luke - chodzi ci o to, żeby zaczynać pracę nie o dziewiątej, a o dziesiątej.
- To nie ma nic wspólnego z moją pracą tutaj.
- A więc z czym? - Spojrzał znacząco na zegarek, dając jej do zrozumienia, że marnuje cenny czas.
- Mam zamiar uleczyć twoją umęczoną duszę.
- O co ci, u diabła, chodzi? - Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. - Czy to jakiś żart?
- Nie. Porozmawiajmy otwarcie, Luke. Żyjesz w ciągłym napięciu i poczuciu winy. Jak nie jesteś zły, to przynębiony. Chcę, żebyś przestał pokutować za nie swoje winy. Chcę cię nauczyć normalnie żyć i chociaż trochę cieszyć się tym życiem.

- A nie prowadzić codziennej walki z wewnętrznymi demonami?

- Można to i tak ująć.

- Aha. A czego oczekujesz w zamian? Mam podpisać cyrograf własną krwią?

- Nie. - Podniosła filiżankę do ust, upiła mały łyk herbaty, dając sobie czas na zebranie myśli. Serce zaczęło jej walić tak, że o mało nie wyskoczyło z piersi. - Proponuję ci zobowiązanie. Obietnicę małżeństwa - dodała, podkreślając ostatnie słowo.

- Co proszę? - Pochylił się ku niej.

- Obiecasz, że się ze mną ożenisz, jeśli sprawię, że przestaniesz się zadręczać. Jeśli uwolnię cię od twoich koszmarów.

Luke przyglądał jej się uważnie, węsząc jakiś podstęp.

- Obietnica małżeństwa? - powtórzył za nią, starając się zrozumieć tok jej rozumowania.

- Tak - potwierdziła, bynajmniej nie zmieszana.

Luke podparł się łokciami. Maggie Connelly mogłaby mieć każdego faceta. Dlaczego upatrzyła sobie właśnie jego? Co ją w nim pociągało?

Wyzwanie - olśniło go. Maggie uwielbiała trudne zadania, a on stanowił dla niej wyzwanie największe z możliwych. Nieprzystępny detektyw i zatwardziały kawaler. Uznała go za nieosiągalną nagrodę, o którą jednak warto powalczyć.

- Zgadzam się - powiedział, postanawiając, że pokona ją jej własną bronią. - Ale stawiam jeszcze jeden warunek. Zobowiężę się do małżeństwa z tobą, jeśli, jak mówisz, wybawisz mnie od cierpienia, ale twoje zadanie musi być wykonane do końca tego roku, zanim wybije północ w noc sylwestrową.

Maggie spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Przecież do końca roku został niecały miesiąc.

- Cóż, to są moje warunki. Wóz albo przewóz, Kopciuszk.

Maggie przygryzła wargę i popatrzyła na Bruna, a pies na nią.

- Chcę to na piśmie. Bruno będzie naszym świadkiem.

Szuka sprzymierzeńca w psie? Chyba naprawdę jej się coś pomieszało.

- Nie ma sprawy. Przygotuj kontrakt, a ja się pod nim podpiszę.

- Ale wtedy nie będziesz się już mógł wycofać - zastrzegła.

- Nie będę musiał - odparł Luke.

Idąc do swojego biura, Maggie uśmiechała się do siebie. Myśl o mającej niebawem obowiązywać umowie sprawiła, że czekająca ją papierkowa praca wydała się całkiem znośna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przy konferencyjnym stole w Rey-Star Investigations Luke, Maggie i Elena Delgado Connelly przeglądali raporty, które Luke dostał od Eleny wiele miesięcy temu.

Elena siedziała teraz z małą córeczką na kolanach, ale wcześniej pracowała jako etatowy pracownik Specjalnego Biura Śledczego Policji w Chicago. Ponieważ zajmowała się sprawą od samego początku, Luke poprosił ją, żeby w obecności Maggie mogli przyjrzeć się zebranych faktom raz jeszcze. Elena była jedyną policjantką, której powierzono tajemnicę o rakotwórczym wirusie.

Kobiety, oczywiście, już wcześniej się poznały. W trakcie prowadzonego dochodzenia Elena weszła do rodziny Connellych. Zakochała się i poślubiła dwudziestosiedmioletniego brata Maggie, Brettę.

Luke poprawił się na krześle. Myślał o małżeńskim kontrakcie. Nie miał zamiaru żenić się z Maggie Connelly. Nie zamierzał się też zakochiwać ani mieć dzieci. Zerknął na czteromiesięczną córeczkę Eleny. Madison Connelly, bezpieczna na kolanach mamy, wgryzała się w róg szarej koperty i nie spuszczała z niego oczu, próbując naśladować jego ruchy.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak skrepowany. Przecesał ręką włosy, a mała natychmiast dotknęła fikuśnej opaski

na swoich włoskach. Zmarszczył brwi, i ona też zrobiła naburmuszoną minkę.

- Kupiłam książkę o rozwoju małego dziecka - powiedziała Maggie, a Luke podejrzliwie spojrział w jej stronę.

Do czego ona teraz zmierza? - zastanowiło go. Czyżby sugerowała dodatkową klauzulę dotyczącą dzieci w ich kontrakcie?

- W ciągu dwóch miesięcy Madison może już raczkować - ciągnęła dalej Maggie, patrząc z uśmiechem na bratanicę. - Albo chociaż próbować.

- Już próbuje - oświadczyła z dumą Elena. Roześmiała się i podrzuciła dziecko na kolanach. Cała ta rozmowa wydawała się sprawiać dziewczynce wiele radości. - Bywa, że udaje jej się poruszać do tyłu.

- A jak się czujesz, będąc mamą na pełnym etacie? - zapytała Maggie.

- Trudno mi to opisać - westchnęła rozpromieniona Elena. - Kochałam swoją pracę, ale teraz Madison i Brett są całym moim światem. Rodzina jest najważniejsza.

Elena potarła policzkiem o główkę córeczki. Ten czuły gest napełnił serce Luke'a smutkiem. Dawno temu przysiągł sobie, że nie będzie miał dzieci. Nie chciał drzeć każdego dnia o ich los. Porwanie Gwen było dla niego bolesną nauką. Kiedy Madison wtuliła się w ramiona swojej mamy, zauważył wyraz rozczulenia na twarzy Maggie. Dłużej nie zamierzał tego znosić.

- Wybaczcie, drogie panie, ale czy moglibyśmy wrócić do pracy?

Trzy pary oczu popatrzyły na niego z wyrzutem. Chyba powiedział to zbyt ostrym tonem, czym trochę wystraszył małą Madison. Już miał przeprosić, jednak zdecydował się trwać przy swoim. To oficjalne spotkanie, a nie zlot opiekunek.

Pierwsza odezwała się Elena. Otworzyła jedną z teczek i, przerzuciwszy jej zawartość, podała ją Maggie.

- To jest Rocky Palermo.

- Pracuje dla Kellych?

Elena potwierdziła skinieniem głowy, a Luke zerknął Maggie przez ramię, zadowolony, że rozmowa wróciła na właściwe tory. Mężczyzna na zdjęciu miał dużą, nalaną twarz i włosy przyszczyżone w wojskowym stylu. Z boku, na szyi, widać było długą wypukłą szramę, która wyglądała jak blada żyła.

- Dobrze się przyjrzyj - powiedział Luke. - Może cię zaskoczyć o każdej porze i w każdym miejscu. Jest ich najlepszym żołnierzem. - Widząc, że Maggie się wzdrygnęła, pogładził ją łagodnie po ręce. - To on zabił króla Thomasa i księcia Marka.

- Rocky'ego można rozpoznać nawet w przebraniu - dodała Elena. - Chętnie się przebiera, ale i tak jest dość charakterystyczny. Te mięśnie to jego chluba i lubi się nimi popisywać.

- Zarozumiały mięśniak - podsumowała Maggie, podnosząc zdjęcie do wysokości oczu. Kiedy je opuściła, Madison zapiszczała radośnie, co zapoczątkowało zabawę w a-kuku.

Elena promieniała matczyną dumą i tylko Luke nie bardzo wiedział, jak się zachować. Dziecko spojrzało na niego wyczekująco, najwyraźniej licząc na aprobatę. Było śliczną małą dziewczynką z gęstymi, czarnymi włosami i parą wyrazistych, niebieskich oczu. Dżinsowe ubranko zdobiły koronki i wstążeczki. Z białych, błyszczących bucików wystawały skarpetki zakończone falbanką.

Niespodziewanie Rocky Palermo stracił na znaczeniu, a cała uwaga skupiła się na dziewczynce. Nawet Luke dał się wciągnąć w zabawę i uśmiechnął się do niej, na co odpowiedziała, szczerząc radośnie bezzębne ząbki.

Ta chwila była tak pełna czułości, że niespodziewanie dla siebie samego Luke zaczął się zastanawiać, jak by to było być ojcem, ale bardzo szybko w te jego rozmyślania wdarł się obraz posiniaczonej i poranionej Gwen i ze ściśniętym sercem odwrócił się do okna.

Nie ma co się oszukiwać. Nie udźwignąłby tej roli.

Kiedy Maggie otworzyła przed Lukiem drzwi swojego mieszkania, powitał ją grymasem niezadowolenia.

- Jeszcze niegotowa - stwierdził.

Maggie stała przed nim w jedwabnym szlafrocisku. Ułożyła już włosy i nałożyła makijaż, ale nie mogła się zdecydować, co na siebie włożyć.

- Muszę tylko się ubrać.

Denerwowała się przed tym wyjazdem. Miała dziś poznać matkę Luke'a. Na stole stało niedojedzone śniadanie. Nie namyślając się długo, postawiła talerz na podłodze. Bruno w sekundę połknął resztki jedzenia, a Luke ze zdumienia otworzył usta.

- Dajesz temu psu resztki ze stołu? Do licha, Maggie, przecież mówiłem ci, żebyś nie karmiła go żadnymi śmieciami. Obiecałem treserowi, że dopilnujesz jego diety.

Maggie liczyła się z tym, że po zakończeniu śledztwa trzeba będzie oddać psa treserowi, ale nie mogła się powstrzymać, żeby go nie rozpieszcząć.

- Jajka to żadne śmieci. To białko.

Luke popatrzył na psa krytycznym wzrokiem.

- Wygląda, jakby mu przybyło parę kilo. To niedobrze. Wiesz przecież, że mastiffy mają skłonności do tycia. Mam nadzieję, że nie dajesz mu żadnych smakołyków.

- Nie - skłamała Maggie. Nauczyła Bruna podawać łąpę. Szybko się uczył, przy czym upodobał sobie zwłaszcza chrupki i żelki.

- Na pewno?

- Tak.

Podniosła z podłogi wylizany do czysta talerz i udała się do kuchni. Miała nadzieję, że udobrucha Luke'a filiżanką dobrej kawy. Niepokój nie opuszczał jej ani przez chwilę.

Postawiła przed nim kawę, ale zanim poszła się przebrać, zapytała:

- Dlaczego zaproponowałeś, żebym z tobą pojechała?

Luke zadzwonił o siódmej rano i zapytał, czy nie chciałyby poznać jego matki. Nieoczekiwane zaproszenie bardzo ją zaskoczyło.

- To był pomysł mojej mamy.

- Naprawdę? Chce mnie poznać?

- A dlaczego by nie? Jesteś sławna.

Rozczarowała się trochę. Pani Starwind spodziewała się poznać osobę publiczną, kogoś, o kim piszą w rubrykach towarzyskich.

- Nie wspominałeś jej o naszej umowie?

- Masz na myśli ten zwariowany kontrakt? Oczywiście, że nie. Ubierz się wreszcie, bo czas na nas.

Maggie poszła do swojej sypialni, urażona jego obojętnością. Nadal nie traktował jej poważnie. To prawda, że wymuszenie na nim obietnicy małżeństwa było śmiałym posunięciem, ale z drugiej strony zobowiązała się, że uleczy mu serce. Czyż Luke nie widzi, co to oznacza? Że zależy jej na nim?

Dobranie garderoby nie było prostym zadaniem. Wzięła do ręki sweter i odrzuciła go na łóżko. Każdy z kolejnych strojów

wydawał jej się nieodpowiedni. Matka Luke'a spodziewała się poznać taką Maggie Connelly, jaką lansowały media - piękną dziedziczkę ogromnej fortuny. Maggie chciała się pokazać taką, jaką jest naprawdę, ale wtedy może wydać się pani Starwind zbyt pospolita.

Rozległo się pukanie. Maggie uchyliła lekko drzwi i Luke zajrzał do środka przez wąską szparę.

- Nic ci nie jest? Tak długo to trwa.

Maggie rzuciła okiem na zegarek. Upłynęło trzydzieści pięć minut.

- Już kończę.

Luke przewrócił oczyma.

- Nie jedziemy na pokaz mody. Włóż dzinsy i już.

Łatwo mu mówić, pomyślała. On się nawet nie musiał starać, a i tak wyglądał świetnie. Zdarte buty i wypłowiałe levisy tylko dodawały mu uroku.

Przy nogach Luke'a pojawił się Bruno. Węsząc, pchnął nosem drzwi, które otwarły się na całą szerokość.

Maggie popatrzyła nerwowo za siebie. W pokoju panował nieład. Całe łóżko zarzucone było niechcianą garderobą. Ale kiedy odwróciła się ku drzwiom, zauważyła, że Luke nie zwrócił na to żadnej uwagi. Jego spojrzenie utkwilo między rozchyłonymi połami jej szlafrocza, pod którym miała tylko koronkowy stanik i skape majteczki.

Zastygła w bezruchu, bojąc się nawet oddychać. W pokoju zrobiło się nagle parno i duszno jak po letnim, ulewnym deszczu. Jedwab przylgnał do jej skóry. Czuła w piersiach delikatne mrowienie, sutki podniosły się, naprężając obciskającą je koronkę. Miała wielką ochotę, żeby go całować, przyciągnąć jego usta ku sobie i zamknąć je w zachłannym pocałunku. Nie

uczyniła jednak żadnego ruchu. Pozwoliła, żeby patrzył, mając nadzieję, że jej dotknie.

I tak się stało. Luke podniósł dłoń ku jej ustom i pogładził je palcami. Dotknęła językiem jego kciuka, czekając na reakcję. Zadrżał.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, nie odrywając oczu ani na moment. Wreszcie Luke przesunął dłoń w kierunku szyi, a potem trochę niżej. Wyciągnął ku niej drugą dłoń i połączył połę szlafroka, dotykając nabrzmiałych sutków. Celowo? Przypadkiem? Nie była pewna.

- Ubieraj się - powiedział cicho, po czym odwrócił się i wyszedł.

Maggie zamknęła za nim drzwi, opierając się na nich całym ciężarem. Ledwie potrafiła ustać na miękkich nogach. Jak teraz wyjdzie z tego pokoju? Ma udawać, że nic się nie stało?

Przez następny kwadrans Luke siedział na kanapie, wpatrując się w malowidło na ścianie. Kusiło go, żeby go dotknąć, przeciągnąć dłonią po każdej zmysłowej postaci. Jednocześnie zastanawiał się, co powie, kiedy Maggie wyjdzie z sypialni. Musi to być coś zwyczajnego, coś, co schłodzi jego rozpalone zmysły i złagodzi panujące między nimi napięcie.

- Wołają cię?

- Co? - Odwrócił się gwałtownie i serce podskoczyło mu do gardła. Nie słyszał, kiedy wchodziła. A jednak stała tam jak jakaś zjawą.

- Syreny. Wołają cię?

- Tak - przyznał.

Maggie też go przywoływała. Niespodziewanie w jego głowie zrodził się obraz. On i Maggie kochali się w oceanie, światło

księżycy połyskiwało na powierzchni wody, która łagodnie pieściła im skórę. Miał wrażenie, że czuje ciepło, wilgotność, rytmiczne przesuwanie się pomiędzy jej nogami.

- Mnie też wołają - powiedziała, siadając obok niego na kanapie. - Pewnej nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, przeczytałam o syrenach, które jakoby widziano w dziewiętnastym wieku. O świcie zaczęłam malować ten obraz.

- Kto je widział? - zapytał, zastanawiając się, czy Maggie wierzy w ich istnienie.

- Wspominają o nich w swoich relacjach naukowcy i podróżnicy, ale przede wszystkim rybacy. Zdarzało się, że zaplątywały się w sieci.

- I co wtedy? Czy rybacy puszczali je wolno?

Skinęła głową.

- Kiedyś więzili syrenę przez trzy dni, ale nie chciała jeść ani pić, więc wypuścili ją z powrotem do oceanu. Twierdzili, że była urodziwa i pięknie zbudowana. Od talii w górę przypominała młodą kobietę, a poniżej była rybą, z płetwami i rozłożystym ogonem.

- A męskie syreny?

- Takie też się pokazywały - rzekła, patrząc na niego jasnymi, niebieskimi oczyma. - Kiedyś namaluję kochanków z oceanu. Syrenę w objęciach jej ukochanego.

Luke zadrżał z przejęcia.

- Jak się będą kochać?

Maggie przygładziła włosy. Wyglądała atrakcyjnie. Miała na sobie dzinsy i haftowaną bluzkę, delikatną jak najcieńszy jedwab'

- Na ten czas będą przybierali ludzką postać. Połączą się jak ludzkie istoty.

- Jak to będzie możliwe? - Poddawał się działaniu jej wyobraźni.

- Dzięki czarom. Raz do roku i tylko przez godzinę. Więc za każdym razem będą się kochać do szaleństwa.

Wyobraził ich sobie - zaczarowanych kochanków z głębi mórz, splecionych ramionami, obsypujących się pieścizotami i pocałunkami, ich wilgotne, rozgorączkowane ciała pulsujące pożądaniem. Kochaliby się w wodzie i na brzegu morza, pod niebem roziskrzonym gwiazdami, z piaskiem przyklejonym do skóry.

Popatrzyli sobie w oczy, nie odzywając się ani słowem. Ale słowa były niepotrzebne, bo w ich spojrzeniach było to samo pragnienie.

To jakieś szaleństwo, pomyślał Luke. Bez względu na to jak bardzo była pociągająca, jak bardzo zniewalała go jej nieprawdopodobny erotyzm, nie mogła być partnerką dla kogoś w jego wieku.

- Kiedy przyszedłeś na świat, miałem siedemnaście lat - odezwał się, głośno wypowiadając swoje myśli.

- Słucham?

- Nic, nieważne. - Wstał i starając się zapanować nad sobą, sięgnął po kurtkę. - Lepiej jedźmy już.

- Jestem dorosła, Luke - powiedziała Maggie, również podnosząc się z kanapy i szykując do wyjścia.

Jasna torebka na długim pasku doskonale komponowała się z botkami z wężowej skóry. Starannie dobrała wszystkie dodatki. W uszach mieniły się małe brylanciki, na nadgarstkach błyszcząły złote bransoletki. Skórzana kurtka z frędzlami nawiązywała do późnych lat sześćdziesiątych. Jeszcze jej wtedy na świecie nie było, skonstatował Luke. Nie pamiętała czasów

hippisów, wojny w Wietnamie ani pierwszych ludzkich kroków na Księżycu. On był wtedy dzieckiem, ale pamiętał wszystko. Czasy były niespokojne, ale w jego rodzinie wszystko się wtedy dobrze układało.

Czuąc przypływ nostalgii, poprowadził Maggie do windy, a następnie na parking, gdzie czekał na nich jego terenowy wóz.

Parę godzin później mknęli wiejską drogą Maggie zapatrzyła się w zimowy pejzaż za oknem: opustoszałe sady, pola i pastwiska.

- Jaki tu spokój - powiedziała.

- Tak.

Poprawiła się na fotelu i odwróciła w jego stronę.

- Pewnie tęsknisz za domem.

- Czasami, ale przywykłem już do miasta, do samochodów na ulicach, hałasu, tego wszystkiego.

- Zostałeś miejskim Indianinem - zażartowała.

- Być może, ale nie zapominam o tradycji. - Szanował wierzenia swoich przodków: wszechświat został stworzony nie tylko dla człowieka. Moc życia jest we wszystkim, co istnieje i oddziałuje na świat rzeczy widzialnych i niewidzialnych, czy to na ziemi, czy w niebie. - Ojciec opowiadał mi o historii Czirokezów.

- Powiedział ci, jak wyglądała tradycyjna ceremonia ślubna? - zapytała, zaglądając mu w oczy.

- Zaślubiny odbywają się przy świętym ogniu, pośrodku domu rady plemiennej. Kapłan odprawia modły, a nowożeńcy wymieniają prezenty. Potem...

- Jakie prezenty?

- Pan młody ofiarowuje wybrance dziczyznę i koc. Na pewno nic takiego, co spodobałoby się współczesnej dziewczynie - dodał.

- A prezent panny młodej?

- Ziarno kukurydzy i koc. Obdarowuje go też własnoręcznie uplecionym czarno-czerwonym pasem, który on nosi potem podczas ceremonii.

- A później co się dzieje?

- Piją ze specjalnej ślubnej czary, którą się następnie tłucze. Potłuczone skorupy oddaje się Matce Ziemi, a młodym zarzuca się na ramiona białe płótno, które symbolizuje ich związek. Biel w kulturze Czirokezów oznacza pokój i szczęście.

Maggie wpatrywała się w niego w milczeniu. Czuł na sobie jej wzrok i dlatego wołał patrzeć na drogę.

- To musi być piękny rytuał - rzekła Maggie. - Podoba mi się, że oboje młodych okrywa się białym płótnem.

Luke skinął głową, nagle odkrywając, że on najczęściej ubiera się na czarno - kolor, który Czirokezi kojarzą ze śmiercią. W jego świecie wszystko było mroczne. Wszystko z wyjątkiem Maggie Connelly. Jakimś dziwnym trafem coraz więcej jej było w jego życiu, co - musiał przyznać - napawało go strachem.

Skręcił w boczną wiejską drogę.

- Prawie jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Za chwilę Maggie wejdzie do jego domu i pozna jego matkę, jego jedyną rodzinę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Luke skręcił na wysypyany żwirem podjazd i zatrzymał się przed starym domem. Obrośnięty wiecznie zielonym bluszczem, miał w sobie coś z uroku domów dawnych osadników. Wydawało się, że w takim miejscu nie może wydarzyć się nic złego, a jednak dwadzieścia siedem lat temu porwano stąd dziecko.

Maggie wyobraziła sobie małą dziewczynkę, która klęczy na ganku, bawiąc się papierowymi lalkami i zamkiem z kartonu. Lady Ginewra - tak mógłby nazywać się jej obraz, ale nie miała odwagi powiedzieć o tym Luke'owi.

- Kiedyś - przerwał jej rozmyślenia Luke - robiono tutaj sery. Ale to było jeszcze zanim rodzice kupili tę farmę. Wyglądasz, jakbyś się czuła nieswojo - zauważył nagle. - Boisz się spotkania z moją matką?

- Trochę - przyznała się.

- Nie musisz się jej obawiać. Wprawdzie nie chodzi na przyjęcia i nie udziela się społecznie, ale goście jej w domu nie przeszkadzają. Nie jest szalona. Agorafobia to pewna dysfunkcja, a nie choroba psychiczna.

- Źle mnie zrozumiałeś. Chciałabym zrobić na niej dobre wrażenie.

- Ty? Siostra króla?

- Tak, ja. Może się rozczarować, kiedy mnie zobaczy.

Luke sięgnął po dżinsową kurtkę, którą rzucił na tylne siedzenie.

- Żartujesz sobie. Ona już uważa, że jesteś niezwykła.

Bo jestem osobą z wielkiego świata, pomyślała Maggie. Bo pochodzę z domu Connellych.

Wysiedli z samochodu i Luke zaprowadził ją do wejścia z tyłu domu.

- Jesteśmy! - zawołał, kiedy weszli do kuchni. Wszystkie blaty zastawione były jedzeniem.

- Och, mój Boże! - Kobieta we włóczkowych spodniach krzątała się przy kuchence.

Maggie wywnioskowała, że to na pewno gospodyni. Z rudymi, obficie spryskanymi lakierem włosami nie przypominała kobiety, którą opisywał jej Luke.

Luke dokonał prezentacji. Miała na imię Neli i wyglądała na sześćdziesiąt parę lat. Pracowała kiedyś jako kelnerka. Mówiła ochryłym głosem i często się uśmiechała. Maggie od razu ją polubiła.

- Nie powinieneś wprowadzać gościa tylnymi drzwiami - strofowała Luke'a Neli, kręcąc głową i wprawiając w ruch miniaturowe bożonarodzeniowe ozdoby, zwisające jej z uszu. Uśmiechnęła się znacząco do Maggie. - Mężczyźni już tacy są, prawda? Ale że jest przystojny, to mu wybaczymy.

- Na pewno mówisz o moim synu.

Wszystkie oczy skierowały się w stronę, skąd dobiegł ten miły głos, i w drzwiach ukazała się matka Luke'a. Dana Starwind była wysoka i szczupła, o srebrnosiwych włosach i gładkiej cerze. Wyglądała na delikatną, ale jednocześnie silną ko-

bietę. W młodości musiała zachwycać swoją urodą, pomyślała Maggie i zrobiła krok w jej stronę.

Kiedy zostały sobie przedstawione, Dana Starwind powiedziała:

- Czy Luke mówił ci, jak bardzo chciałam cię poznać?

- Tak, ale mam nadzieję, że nie wierzy pani we wszystko, co o mnie wypisują w gazetach.

- Wiem, że kończysz studia. Dwa kierunki: zarządzanie i malarstwo.

- To akurat prawda - ożywiła się Maggie. O tym rzadko pisały gazety. Za to jej zdjęcia w bikini na jachcie u wybrzeży południowej Francji wzbudziły ogromne zainteresowanie. Szczególnie po tym, kiedy przypadkiem rozpiął jej się biustonosz. Z gazet można było wyczytać, że zrobiła to celowo.

- Dana też jest malarką - poinformowała Neli.

- To tylko hobby - zastrzegła Dana. - Maluję, żeby się czymś zająć. Widziałam twoje prace w jakimś magazynie. Są wyjątkowe.

A więc to był powód, dla którego matka Luke'a tak bardzo chciała ją poznać! Nic nie mogłoby sprawić Maggie większej przyjemności.

- Dziękuję. Ja też chciałabym zobaczyć pani prace.

- W takim razie chodźmy do salonu - zaproponowała nieśmiało Dana. - Neli ciągle suszy mi głowę, żeby mi dała do oprawy.

Akwarele zgromadzone w salonie przedstawiały obrazy natury: kwiaty kwitnące w ogrodzie, skapaną w słońcu misę z cytrynami, wartki strumień pośród skał. Ośnieżone wierzchołki gór do złudzenia przypominały te w Szwajcarii, winnice jak winnice we Francji, a dorodne, ustawione w rzędzie kasztany

mogły wyrosnąć na toskańskiej ziemi. Dana najwidoczniej odbywała w myślach dalekie podróże, stwarzając świat wedle swoich o nim wyobrażeń.

- Są bardzo piękne - powiedziała Maggie.

Wszystkie te sercem malowane obrazy doskonale wkomponowały się w to niezwykle, pełne wiejskiego uroku wnętrze. Proste drewniane meble użytkowe stały obok autentycznych antyków. Sofę, która pamiętała jeszcze czasy sprzed wojny secesyjnej, zdobiły patchworkowe poduszki. Stara maślnica rozsiadła się pomiędzy dwoma wysokimi krzesłami. Ciepło i magia, pomyślała Maggie, emanowały z całego pomieszczenia. Niemniej zauważyła brak rodzinnych fotografii. Zdjęcia Gwen wywoływałyby zbyt wiele bolesnych wspomnień. Popatrzyła na Luke'a. Siedział obok matki i na pierwszy rzut oka było widać, że łączyła ich silna więź.

Podczas gdy Maggie, Dana i Luke zajmowali się rozmową, Neli wymknęła się do przyległej jadalni i zastawiła stół domowymi przysmakami. Odpowiadała jej rola gospodyni. Dumna jak paw zachęcała do jedzenia. Maggie skosztowała wszystkich potraw, mając świadomość, że to na jej cześć przygotowano tę ucztę.

- Neli uwielbia gotować - rzekł Luke, nakładając sobie pełny talerz. - Ona i moja mama pracowały kiedyś w tym samym barze.

- Naprawdę? - Maggie uśmiechnęła się z zainteresowaniem i zwracając się do Dany, zapytała: - Pani też była kelnerką?

Dana skinęła głową.

- Tak, ale to było czterdzieści pięć lat temu.

- Właśnie tam poznała ojca Luke'a. - Neli wachlowała się serwetką. - Boże drogi, aż miło było na niego popatrzeć.

Dana uśmiechnęła się, a jej brązowe oczy nabrały ciepłego blasku.

- Od razu się w nim zakochałam. Jacob Starwind był kierowcą ciężarówki z Karoliny Północnej. Pochodził z Qualla Boundary, rezerwatu Czirokezów, ale firma, dla której pracował, miała siedziby w Winston-Salem, Pittsburghu i Chicago. Był zadowolony z pracy, bo dobrze płacili. - Sięgnęła po szklanę z wodą i upiła mały łyk. - Jeździł po całych Stanach i zawsze, ilekroć zjawiał się w tej okolicy z nową dostawą, wstępował do naszego baru.

- Wywołali niezły skandal - wtrąciła Neli. - Indianin i biała kobieta! Trzeba pamiętać, że było to w latach pięćdziesiątych i związku ludzi o innym kolorze skóry były źle widziane.

- To fakt. - Dana spojrzała na swoją przyjaciółkę. - Ludzie gadali, ale nie przejmowałam się tym. Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak z nim być. Neli była jedyną osobą, która mnie wtedy nie osądzała.

Neli machnęła ręką.

- Dlatego, że i ty mnie nie osądzałaś - odezwała się, puszczając do Maggie oczko. - O mnie też wygadywali różne rzeczy.

- Pamiętam, że kiedy byłem dzieckiem, Neli była zawsze w pobliżu - zauważył Luke.

- W końcu przestali się nami zajmować - ciągnęła Dana, bawiąc się fasolową sałatką na talerzu. - Jacob oświadczył mi się i zmienił trasę tak, aby móc mieszkać tutaj. Niełatwo było wtedy wyjechać z rezerwatu, ale stara tradycja Czirokezów mówi, że mąż powinien mieszkać z rodziną żony, a ponieważ moja rodzina mieszkała w Illinois, jakoś dało się to załatwić.

- Musiał być bardzo dumnym człowiekiem. Jak jego syn - wtrąciła Maggie, spoglądając na Luke'a.

Luke nie podniósł wzroku znad talerza, ale Neli i Dana wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

Parę godzin później uściskały ją obie na pożegnanie, co Maggie przyjęła z wdzięcznością. Ich akceptacja była jej potrzebna.

- Przyjadę tu jeszcze - obiecała matce Luke'a. Porozmawiają o sztuce i literaturze, o pięknych zakątkach na ziemi - europejskich pejzażach, które Dana znała tylko z wyobraźni.

Następnego popołudnia Luke odwiedził Maggie w biurze. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić, widząc ją przy biurku Toma Reynoldsa. Kiedyś już przy wejściu uderzyłby go zapach dymu z papierosów. Teraz pachniało tu jak w kwaciarni.

Maggie uśmiechnęła się na powitanie.

- Mam dla ciebie zadanie - oznajmił Luke. - Wypytaj w rodzinie o Gregora Paulusa. Interesuje mnie wszystko, nawet najdrobniejszy szczegół dotyczący jego relacji z księciem Markiem.

- Był osobistym sekretarzem mojego wuja.

- Zgadza się, ale nic nie wiem o ich faktycznych relacjach. Czy Paulus był jego powiernikiem, czy łączyły ich tylko sprawy służbowe?

- Myślisz, że Paulus jest w to wmieszany?

- Jest na liście podejrzanych. - Luke usiadł na jednym ze skórzanych foteli niedaleko biurka. - Nie znalazłem jednak jeszcze niczego, co wskazywałoby niezbicie na powiązanie z mafią Kellych. Jeśli miał coś wspólnego z przemytem plików, to znaczyłoby, że wciągnął go do tego książę Mark.

- Po co miałyby to robić?

- Nie wiem. Dlatego musisz porozmawiać o Paulusie, z kim się da. Ja sam nie mogę nic na niego znaleźć.

- Nie ma problemu.

Maggie wstała i podeszła do barku, gdzie stał ekspres do kawy. Napełniła filiżankę cappuccino, po czym sięgnęła do lodówki po bitą śmietaną i wycisnęła białą chmurkę na gorący napar. Podchodząc z powrotem do biurka, usiadła na brzegu i skrzyżowała długie, zgrabne nogi w eleganckich pantofelkach.

Nagle zabrzączał intercom. Maggie pochyliła się nad biurkiem, żeby dosięgnąć przycisku. Luke mimo woli zauważył, jak jej spódnica powędrowała jeszcze wyżej, odsłaniając uda.

- Tak, Carol?
- Czy Luke jest u ciebie?
- Tak, jest tutaj.
- To dobrze. Trafiłam na coś, co może was oboje zainteresować.

Po chwili pojawiła się Carol z aktualnym wydaniem kolorowego pisma z supermarketu. Na pierwszy rzut oka nie było tam nic ciekawego. Typowe pismo ilustrowane z gwiazdką filmową na okładce. Dopiero gdy Luke wziął je do ręki i zaczął przeglądać, wyrwało mu się z ust brzydkie przekleństwo. „Dziedziczka Connellych znowu zakochana!” - głośił nagłówek obszernego artykułu. Dalej następowała historia romansu wraz z kilkoma zdjęciami, na których Maggie i on całują się na śniegu. Zdjęcia były nie najlepszej jakości i na pewno nie zrobił ich profesjonalista. Pewnie jakiś przypadkowy fotograf, który dopiero potem odkrył, kim jest partnerka Luke'a. Musiał na nich nieźle zarobić.

- Przykro mi - odezwała się Maggie.
- To nie twoja wina.
- Wystąpimy o odszkodowanie? - zapytała rzeczowo Carol.
- Nie. - Luke przeczesał dłonią włosy. - Nie sądzę.

- Poleciłam już ochronie budynku, żeby nie wpuszczają tu dziennikarzy i reporterów - poinformowała Carol, jak zawsze profesjonalna i lojalna.

- Dzięki.

Carol wróciła do pracy, zostawiając Luke'a i Maggie samych. Kiedy Maggie czytała artykuł, Luke ze wszystkich sił powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć. Miał ochotę walić pięścią w ścianę.

- Piszą tu, że przychodzę codziennie do biura, ponieważ nigdy nie mam ciebie dosyć. No, no, chyba mamy ze sobą gorący romans.

Luke westchnął zniecierpliwiony. Nie podobało mu się, że przedstawiano go jako pierwszego „starszego mężczyznę” w życiu Maggie.

- Dobrze, że nie piszą, że razem pracujemy. Do głowy by im to nie przyszło. Ja z tym swoim ptasim mózdzkiem asystentką sławnego detektywa? - zażartowała Maggie.

- Całowaliśmy się, Maggie. Tylko to ich interesuje.

- Tym lepiej! Może powinniśmy zacząć bywać razem.

- Żeby uwiarygodnić te bzdury, które tu wydrukowali?

- Będę bezpieczniejsza, jeśli Kelly wezmą mnie za twoją kochankę. Nie będą podejrzewali mojego udziału w śledztwie.

Luke zmarszczył czoło. Nie miał ochoty uczestniczyć w tym przedstawieniu. Z kolei w tym, co powiedziała, było sporo racji.

- Możemy zacząć już dziś wieczorem - przekonywała Maggie, biorąc do ręki filiżankę z cappuccino. - Dotrzymasz mi towarzystwa na wystawie. Już i tak miałam dość przesiadywania w domu.

- No dobrze - odpowiedział z rezygnacją.

Pewnie wynudzi się jak mops. Potrafił docenić sztukę, która

do niego przemawiała, ale zbyt wiele było zwariowanych rzeźb i obrazów, których po prostu nie rozumiał. Dobrze wiedział, że nie pasuje do awangardowego świata Maggie. Zbyt wiele ich dzieliło i żadne pozorowane randki nie mogły tego zmienić.

Luke nie pamiętał, żeby jakkolwiek kobieta zrobiła na nim tak piorunujące wrażenie jak Maggie w swojej koktajlowej sukience. Miękka, srebrzysta tkanina skrzyła się przy każdym ruchu, podkreślając łagodne linie jej sylwetki. Była przy tym tak skąpa, że z jednej strony odsłaniała głęboki dekolt, a z drugiej niewiarygodnie długie nogi. Błyszczący naszyjnik i wysokie szpilki dopełniały dzieła.

Nawet Bruno wpatrzony był w nią jak w obrazek.

- To dla mnie? - zapytała Maggie z zabójczym uśmiechem.

- Co? Ach... tak.

Zapomniał o różach! Wprawdzie nie była to prawdziwa randka, ale wydało mu się właściwe, żeby kupić jej kwiaty.

- Dziękuję - rzekła Maggie i stukając obcasami, poszła wstawić róże do wazonu.

Luke nigdy by nie przypuszczał, że odgłos stukających o podłogę obcasów może nieść w sobie taki ładunek erotyczny.

Maggie wróciła z krótko przyciętą różą, którą zaraz wpięła mu w klapę marynarki.

- Idziemy? - zagadnęła, sięgając po narzutkę. Potrząsnęła przy tym głową, pozwalając, żeby jej długie włosy swobodnie ułożyły się na ramionach. - Możemy pojechać moim wozem.

- Wręczyła mu kluczyki od lamborghini. - Bardziej rzuca się w oczy, a przecież zależy nam, żeby nas dzisiaj zauważono, prawda?

Dotarli na miejsce w rekordowym czasie. Galeria mieściła

się w historycznym budynku z oknami o małych szybkach i chodnikiem wyłożonym cegłą. W środku jarzyło się mnóstwo świateł. Kręte schody prowadziły na trzy przestronne piętra. Licznie zgromadzeni goście przechodzili z jednej sali wystawowej do drugiej.

Podszedł do nich kelner, podsuwając tacę z drinkami. Maggie poczęstowała się szampanem w wysmukłym kieliszku, ale Luke wolał coś mocniejszego z baru. Zaraz potem Maggie wzięła Luke'a pod rękę i ruszyli na zwiedzanie.

W pierwszej sali, w samym jej środku, ustawiono tylko jedną rzeźbę. Przedstawiała nagą kobietę. Z odchyłoną do tyłu głową wyginała w łuk smukłe ciało. U jej stóp leżały rozrzucone różane płatki.

Maggie dotknęła różę w klapie marynarki Luke'a, a on nagle zapragnął ją przytulić.

W następnej sali wystawione były trzy obrazy, jeden bardziej wyzywający od drugiego.

- Cholera - wymknęło się Luke'owi, gdy jego wzrok przykuł obraz kobiety całującej męski pępek. Odkryty męski brzuch tuż nad pasem dżinsów intrygował i prowokował.

- Mężczyzna bez imienia i bez twarzy. Mógłby być nim każdy - zauważyła Maggie, sącząc szampana.

- Mhm - mruknął Luke, wyobrażając sobie jej usta na swoim brzuchu. - Szkoda, że mnie nie uprzedziłaś.

- Ze co? Że to wystawa sztuki erotycznej? Ach, zapomniałam.

Akurat! - pomyślał.

Zrobiła to celowo i, co więcej, odniosła oczekiwany skutek. I co z tego, że są w miejscu publicznym? Przecież właśnie o to chodzi! Przyciągnął ją do siebie i przywarł pocałunkiem do jej

warg. Omal nie wylał wódki na podłogę. Zwalniając uścisk, popatrzył jej głęboko w oczy.

- Nie zwódź mnie już więcej. I nie próbuj mnie uwieść.

- Dlaczego nie, skoro to takie przyjemne? - zapytała, podnosząc zadziornie głowę i uśmiechając się triumfująco.

Musiał przyznać, że pierwszą rundę wygrała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maggie lubiła swój pokój w Lakę Shore Manor. Bardzo się zmienił od czasu, kiedy mieszkała w nim, będąc dzieckiem, ale zawsze dobrze się w nim czuła. Z balkonu miała widok na ogród. Z rozczuleniem spoglądała teraz na miejsca swoich dziecięcych zabaw, wyobrażając sobie siebie, małą dziewczynkę, w zakamarkach bukszpanowego labiryntu.

- Maggie?

Odwróciła się na dźwięk głosu matki. Emma, jak zawsze piękna i elegancka, miała na sobie klasyczną garsonkę Chanel, ozdobioną sznurem pereł, i blond włosy starannie upięte z tyłu głowy.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała matka.

Maggie skinęła głową i usiadła na krawędzi łóżka.

- Widziałas artykuł w gazecie, mamó?

- Słyszałam o nim - odparła Emma, sadowiac się na wysiękanym krześle obok - ale nie miałam ochoty go przeczytać.

- Tata się zdenerwował?

- Nie będzie wzywał Starwinda w tej sprawie, jeśli o to ci chodzi. Luke dzwonił już, żeby nas przeprosić.

Maggie nie wiedziała, czy ma być zadowolona, czy się złościć. Doceniała, że Luke dbał o jej honor, ale nie życzyła sobie, żeby się kajał za to, co było między nimi.

- Wiedzieliśmy już wcześniej, że macie się ku sobie.
- Wiedzieliście? - Maggie przytuliła poduszkę.
- Widzieliśmy, jak tańczyliście na weselu Rafe'a i Charlotte. Jak się obejmowaliście, jak patrzyliście na siebie... Trudno było tego nie zauważyć.
- Kocham go, mamo.
- O... - Emma przyłożyła do serca wypielegnowaną dłoń.
- Pewna jesteś? Czy to aby nie jest jeden z tych twoich emocjonalnych porywów?
- Nie - odrzekła Maggie, patrząc matce prosto w oczy. - Ja to naprawdę czuję. Tylko że to takie trudne. Albo się ze sobą kłócimy, albo ciągnie nas do siebie tak, że...
- No cóż... - Emma zakasłała z zakłopotania, a Maggie przygryzła wargi, powstrzymując uśmiech. Nie raz zaskakiwała bliskich swoją nadmierną otwartością i tym, że nie przebierała w słowach.
- Opowiedz mi, jak to było, kiedy ty się zakochałaś w tacie. Emma westchnęła.
- Było cudownie. Ale też nie obyło się bez kłopotów. Grant był taki dynamiczny, a przy tym dumny i silny. - Dotknęła perełki przy uchu. - Mojej rodzinie jednak wydał się zbyt grubiański. Rodzice nie mogli pogodzić się z tym, że nie poślubiłam kogoś szlachetnie urodzonego. Byłam księżniczką. Do moich obowiązków należało dbać o strategiczne interesy własnego kraju.
- Ale ty zrezygnowałaś z tytułu i wyszłaś za nieokrzesanego Amerykanina.
- Tak - uśmiechnęła się Emma. - Też byłam uparta w młodości.
- Żałowałaś swojej decyzji? - zapytała Maggie, mając na

myśli romans ojca z sekretarką. - Mielicie z ojcem pewne problemy.

- Nigdy nie żałowałam tego, że wyszłam za człowieka, którego kochałam. A nasze kłopoty miały miejsce na długo przed twoim przyjściem na świat. To bardzo stare sprawy. - Emma odwróciła wzrok, jakby starała się odegnać przykre wspomnienia. - Trzeba nauczyć się przebaczać, żyć dalej pomimo bólu.

- A jak sobie poradziłaś przez tyle lat z dala od swoich najbliższych?

- To było najtrudniejsze. I oczywiście wdzięczna jestem losowi, że miałam okazję pogodzić się z ojcem, zanim umarł.

Pięć lat wcześniej Emma pojechała do Altarii, żeby pogodzić się z królem Thomasem i w ten sposób zbliżyć do siebie dwie rodziny.

Maggie opuściła wzrok na poduszkę i nie przestając bawić się koronką, pomyślała, jak ciężko musiało być jej matce przyjąć wiadomość o zdradzie księcia Marka.

- Luke wyjaśni sprawę tego zabójstwa.

- Wierzę, że tak - odparła Emma. - Wiem też, że bardzo się w to zaangażowałaś. Boję się o ciebie, Margaret.

- Luke obiecał Rafe'owi, że nic złego mi się nie stanie.

- Wiem, ale potrafisz być taka nieobliczalna. Uważaj na siebie i słuchaj go we wszystkim. Jest nie tylko prywatnym detektywem. Był żołnierzem służb specjalnych. Zna się na tych sprawach.

- Nie będę mu się sprzeciwiać. Chciałabym po prostu mieć w tym jakiś swój udział. A tak w ogóle, co o nim myślisz, mamo?

Emma złożyła ręce na kolanach.

- To dobry człowiek. Ojciec i ja lubimy go.

- Cieszę się - rzekła Maggie, uśmiechając się promiennie, pomimo że serce biło jej w piersi jak szalone - bo wcześniej czy później wyjdę za niego.

Następnego dnia rano w samochodzie Maggie zadzwonił telefon.

- Mówi Carol. Będziesz w pracy?

- Tak. - Jak zwykle za późno wyszła z domu. Bruno dyszał jej za uchem, wyglądając przez przyciemnione szyby lamborghini. - Powinniśmy dojechać za pięć minut. - W ostatniej chwili przyspieszyła i przejechała na żółtym świetle. - Może za cztery.

- Luke jest w kiepskim nastroju.

Maggie rzuciła okiem na lusterko wsteczne i spostrzegłszy policjanta, zwolniła nieco.

- A co się stało?

- Wściekł się, kiedy zobaczył kolejny artykuł w gazecie.

- Dzięki za ostrzeżenie, Carol. Odwdzięczę się kiedyś.

Rozłączyła się i wjechała na parking. Nic dziwnego, że Luke się zdenerwował. Nie przywykł do życia w świetle fleszy. Nigdy dotąd nie interesowała się nim opinia publiczna.

- Pora to zmienić - zagadała do psa i pieszczotliwie poklepała go po łbie. - Zwłaszcza że niedługo poślubi córkę Connelych.

W chwili kiedy wychodziła z samochodu, ktoś błysnął jej fleszem prosto w twarz. Kątem oka zauważyła niedużego, ruchliwego mężczyznę, który już ustawiał się do zrobienia kolejnego zdjęcia. Wypuszczając Bruna z samochodu, rzuciła mu cichą komendę. Wystarczyło, że pies odsłonił zęby, a mężczyzna w popłochu odskoczył do tyłu. Musiał stanąć na palnie oleju,

bo poślizgnął się i całym impetem usiadł na ziemi. Maggie pomachała mu, wsiadając do windy, ale pies nie przestał warczeć, dopóki drzwi się nie zamknęły.

Kiedy wjechali na górę, Carol akurat rozmawiała przez telefon. Pokazała ręką drzwi biura Luke'a, dając do zrozumienia, że czeka na nich.

Luke chodził nerwowo po pokoju i dopiero po chwili zatrzymał się i wyrzucił z siebie jak przekleństwo:

- „Miłosny trójkąt”!

Maggie spokojnie odpięła smycz, ale Bruno pozostał u jej boku.

- Nie rozumiem. To znaczy, jest ktoś trzeci?

- Piszą tu, że Claudio i ja rywalizujemy o ciebie.

- Doprawdy? - Starła się nie okazywać rozbawienia. Claudio Di Salvo, niepokorny uwodziciel, miał kochanki dosłownie wszędzie. Do głowy by mu nie przyszło walczyć o jakąś kobietę.

- Spotykasz się z nim? - Luke patrzył na nią z góry.

Wzruszyła ramionami.

- Nadal się przyjaźnimy, jeśli o to ci chodzi.

- Jak blisko?

Maggie usiadła. Nie posiadała się z radości, że Luke okazał się zazdrosny o jej byłego kochanka.

- Pytasz, czy nadal z nim sypiam?

- Dobrze wiesz, o co pytam.

Założyła nogę na nogę, udając obojętność. Bruno położył się u jej stóp.

- Wybacz, Luke, ale to nie twoja sprawa.

- Jak to nie moja? Mam prawo wiedzieć, co z tego tutaj jest, a co nie jest prawdą.

Maggie wzięła do rąk gazetę i nie spiesząc się, zaczęła prze-

glądać artykuł. Na samym środku widniały jej zdjęcia. Na jednym całowała się z Lukiem, na drugim obejmowała Claudia w kasynie w Monako.

- Tak naprawdę to same bzdury - powiedziała wreszcie, patrząc mu w oczy. - Ale Claudiowi się to spodoba. To woda na jego młyn.

- No to brawo dla Claudia.

- Nic wielkiego się nie stało. Mieliśmy krótki romans, to wszystko.

- Jakie to nowoczesne - powiedział Luke cynicznym tonem. - Jeśli możesz, oszczędź mi szczegółów. Na dziś dość mam tego Claudia.

Maggie odłożyła gazetę. Claudio był jej pierwszym i jedynym kochankiem i chociaż fizycznie byli dobrani, brakowało w ich związku więzi emocjonalnej. Tęskniła za prawdziwą intymnością - taką, jaką mógłby jej dać Lucas Starwind.

- Nie sypiam, z kim popadnie - powiedziała urażona, jakby nagle zaczęło jej zależeć na jego opinii. - A już na pewno nie z dwoma naraz.

- Przepraszam cię. Może źle to zabrzmiało. Wiem, że nie ma w tym twojej winy. To ja nie mogę sobie poradzić z nową sytuacją.

- Rozumiem. Czujesz się jak rybka w akwarium.

Pochylił się nad nią i pogłodził ją po policzku. Miała delikatną skórę i pachniała kwiatami. Czyżby się zaczął w niej durzyć? - pytał sam siebie. Była taka młoda i śliczna. Co z tego? Wcześniej czy później znudziłaby się nim, a on musiałby potem długo lizać rany.

Cofnął rękę i przeszedł na drugą stronę biurka, zdecydowany utrzymać dystans.

- Lepiej zabierzmy się do pracy - rzekł. - Rozmawiałaś z kimś o Paulusie?

- Tak - odparła Maggie, rozkładając aktówkę na kolanach i wertując notatki. - Niestety, nie udało mi się skontaktować z księżniczką Catherine, a ona prawdopodobnie zna go najlepiej.

Luke pokiwał głową. Księżniczka Catherine, świeżo upieczona żona szejka, była nieślubną córką księcia Marka.

- Gdzie jest teraz?

- Na wakacjach z mężem.

- Przyjedzie na próbę przed koronacją? - zapytał. Za parę tygodni cała rodzina Maggie miała spotkać się w Altarii.

- Tak. A ty się wybierasz, Luke?

- Zależy, jak się sprawy potoczą. Powiedz mi, czego się dowiedziałeś.

- Nie cieszy się wielką sympatią. Lubi narzucać swoje zdanie, nie Ucząc się z innymi. Po koronacji król chce go zwolnić. Parę razy został przyłapany na kłamstwie i mój brat nie zamierza tego tolerować.

Luke nie wydawał się tym zaskoczony.

- A co wiesz o relacjach Paulusa i księcia Marka?

- Księżę dobrze go traktował, ale raczej jako podwładnego niż przyjaciela.

- Darzył go zaufaniem?

- Być może, ale nikt nie wie, o czym rozmawiali prywatnie. Księżniczka Catherine mogłaby nam powiedzieć coś więcej na ten temat.

- Cóż, poczekamy.

- Kto jeszcze jest na twojej liście podejrzanych?

- Pracownicy ochrony w Rosemere Institute, naukowcy, którzy odkryli wirusa, właściciel przędzalni, z której pochodzą

koronki. Poza Paulusem jest mnóstwo ludzi związanych z pałacem, którzy mogli wpaść na ślad nielegalnych interesów księcia.

- Ale przeczucie mówi ci, że to Paulus?

- Można to tak określić. - Luke oparł się wygodnie w fotelu.

- A ty co sądzisz, Maggie? Co ci podpowiada twoja intuicja?

Maggie zatrzepotała rękami, jeszcze raz przewertowała notatki i wygładziła spódniczkę. Denerwuje się, pomyślał, albo krępuje ją to, że nie ma własnego zdania na temat jednego z kluczowych podejrzanych.

- Nigdy się specjalnie nim nie interesowałam.

- No tak. A co on mógłby powiedzieć o tobie?

- Że jestem bogata i zepsuta. Że liczą się dla mnie tylko luksusowe, szybkie auta i przystojni faceci.

- A dlaczego tak by myślał?

- Bo taka krąży o mnie opinia.

Musiał przyznać, że nietrudno było w to uwierzyć.

- Nie powinnaś tu więcej przychodzić - powiedział niespodziewanie.

- Zabierasz mi tę sprawę? - zapytała, nic nie rozumiejąc.

- Nie możesz...

- Nie zabieram, ale nie musisz tu bywać codziennie, żeby mi pomagać. Za dużo wokół ciebie zamieszania. Niedługo zaczną tu przychodzić inni najemcy i skarżyć się na tłumy fotoreporterów. Dzisiaj jesteś już wolna - oznajmił. - Wpadnę wieczorem, żeby pomóc ci zorganizować stanowisko do pracy w domu.

- To niesprawiedliwe!

- Przyniosę twoje materiały - ciągnął, nie zważając na jej protesty. - Mam dla ciebie mnóstwo pracy. Na początek przejrzysz stare notatki Toma. Może coś przeoczyliśmy.

- Ale ja lubię pracować tutaj. Mam ciebie i Carol w pobliżu
- złożyła usta w podkówkę.

Zaraz się rozpłacze! - pomyślał z przerażeniem. Wtedy sobie z nią nie poradzi.

- To już postanowione - uciął tonem nie znośącym sprzeciwu.

Jeszcze za mną zatęsknisz, pomyślała naburmuszona Maggie i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Maggie powtarzała sobie, że nie będzie płakać, ale słuchając deszczu bębniącego w szyby samochodu, rozkleiła się na dobre. Jechała mokrą autostradą, pociągając nosem, jak nieszczęśliwie zakochana nastolatka. Bruno siedział obok, cierpliwy i łagodny jak baranek. Nie wyobrażała sobie życia bez tego psa i ani jednego dnia bez Luke'a.

Parę godzin później, mokra od deszczu, z zaczerwienionym nosem, zapukała do drzwi Dany Starwind.

- Maggie, kochanie! - Dana otworzyła szerzej drzwi i zaraz cofnęła się z lękiem na widok psa.

- Proszę się nie bać. To tylko mój ochroniarz.

- Duże zwierzę - przyznała Dana i widząc, że oboje ociekają wodą, czym prędzej dodała: - Wejdźcie! Musicie się osuszyć.

Pomogła Maggie zdjąć przemoczone okrycie i otuliła ją dużym kąpielowym ręcznikiem. Następnie uklękła przed Bninem, a ten podał jej zabłoconą łapę, jakby się chciał przywitać. Dana uśmiechnęła się i wytarła ją do czysta. Bruno podał drugą i pozwolił jej zająć się też tylnymi łapami.

Zaraz potem przeszli do kuchni, gdzie w garnku bulgotały pulpety w sosie. Wokoło roznosił się zapach czosnku, oregano

i bazylii. Na blacie obok leżało świeże pieczywo. Wystarczyło, że Neli raz popatrzyła na zaczerwienione obwódki wokół oczu Maggie, a od razu wiedziała, czego jej potrzeba. Nic tak nie podnosi na duchu jak gorący domowy posiłek.

Kobiety usiadły razem do obiadu, nie zapominając, żeby i Bruno dostał swoją porcję. Potem posprzątały ze stołu, zgodnie dzieląc się obowiązkami. Ani Dana, ani Neli nie zapytały Maggie o powód jej smutku. Zamiast tego pozwoliły jej uczestniczyć w swoim codziennym rytuale, tak jakby była jedną z nich.

Niedługo potem Neli usiadła w fotelu, aby trochę poczytać, a Bruno przysnął przy kominku. Dana zaprowadziła Maggie do pokoju, który służył jej jako pracownia.

Na podłodze leżał ręcznie pleciony chodnik. Surowe płótno na sztalugach czekało na pierwsze muśnięcie kolorem.

Dana podeszła do drewnianej półki i wróciła, niosąc w ręce maleńkie figurki.

- Luke je zrobił - powiedziała.

Maggie wzięła jedną z nich, żeby jej się bliżej przyjrzeć. Mała kamienna figurka przedstawiała wyjącego wilka w charakterystycznej pozie, z łbem uniesionym do góry.

- Śliczna.

- To wszystko wilki - powiedziała Dana, uważając, żeby nie upuścić żadnej figurki na podłogę. - Symbolizują A-ni-wa-ya, klan, do którego należał ojciec Luke'a. Kiedyś klan Wilków hodował wilcze szczenięta jak psy.

- Kiedy Luke je wykonał?

- Dawno temu, kiedy był chłopcem.

Kiedy jeszcze żyła Gwen, dodała w myślach Maggie.

- Jaki wtedy był?

Dana rozpromieniła się.

- Uwielbiał spędzać czas na dworze. Miał konia o imieniu Pepper. Całymi dniami jeździł po polach, pokrzykując. Jak na swój wiek był wysoki i nosił długie włosy. Siegały mu aż za ramiona... Odkąd skończył szkołę, jesteś pierwszą dziewczyną, którą przyprowadził do domu.

- Tak? - Maggie była zaskoczona.

- Tak. - Dana postawiła figurki z powrotem na półce i zacisnęła palce na dłoni, w której Maggie trzymała małego wilczka, dając jej do zrozumienia, że może go zatrzymać. - W jego życiu były jakieś kobiety, ale nigdy nie wspomniał ani jednej z nich i żadnej nie przyprowadził do domu. Straciłam nadzieję, że kiedykolwiek zostanę babcia.

Figurka, którą Maggie trzymała w ręce, nagle jakby ożyła. Przyłożyła ją do serca.

- Zaproponowałam mu sama, żeby się ze mną ożenił - wyznała.

Teraz Dana była zaskoczona.

- O mój Boże! I co on na to?

- To taki rodzaj zakładu. Zgodził się, bo nie wierzy, że uda mi się wygrać. Obiecał, że się ze mną ożeni, jeśli zdołam sprawić, że przestanie cierpieć.

Dana wyrzała przez okno. Na dworze deszcz lał strumieniami, zacinając o szyby.

- Ale on nie chce przestać cierpieć, prawda?

- Nie chce. Obwinia się za wszystko, co się stało złego. Cały czas dźwiga to brzemień.

- To z powodu Gwen - powiedziała cicho Dana. - Mówił ci o niej?

- Tak. - Maggie pokiwała smutno głową.

- Bardzo ją kochał. Opiekował się nią. Gotów był życie za

nią oddać. - Dana zamilkła na chwilę, bo wzruszenie odebrało jej głos. - I potem to się wydarzyło i dla niego życie się skończyło...

- Dla ciebie też, Dano.

- Ja... - Chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła. Zaciśnęła mocno dłonie i skierowała oczy na sztalugi. - Nie zrezygnujesz tak łatwo, prawda, Maggie?

- Nie - odparła zdecydowanie. - Na pewno nie zrezygnuję.

Zapanowało między nimi zgodne milczenie. Wsłuchując się w odgłosy ulewy za oknem, obie wyglądały tęczy.

Dochodziła już północ, kiedy Maggie wjechała na parking pod swoim domem. Zdziwiła się, kiedy zobaczyła tam dżipa Luke'a. Co robił u niej o tej godzinie i dlaczego w końcu zdecydował się skorzystać z kluczy do jej mieszkania?

Kiedy otworzyła drzwi, Bruno poszedł przodem. Od razu zaprowadził ją do kanapy, gdzie, zmorzony głębokim snem, spoczywał Luke. Obok na ławie leżała jego kabura i broń.

Maggie podeszła bliżej. Nawet we śnie robił wrażenie silnego, niezłomnego mężczyzny. Zdjął buty, ale poza tym wyglądał, jakby położył się tylko na chwilę. Nie mogąc się powstrzymać, pogładziła go po włosach.

Luke poruszył się niespokojnie i popatrzył na nią spod przy-mrużonych powiek.

- Maggie? Która godzina?

- Już po północy.

- Cholera. - Usiadł na łóżku. - Nie chciałem spać tak długo.

Chciałem się tylko zdrzemnąć.

- Przecież nic się nie stało. Co tutaj robisz?

- Zaraz po pracy przywiozłem ci materiały, ale cię nie zastałem. - Podniósł się, żeby upchnąć w spodnie końce wypłowiałej dżinsowej koszuli. - Wróciłem do domu, ale ponieważ nie odpowiadałaś na moje telefony, przyjechałem jeszcze raz.

Miała ochotę pogładzić go po policzku, ale chyba nie przyjąłby tego dobrze.

- Martwiłeś się o mnie?

Wzruszył ramionami.

- Domyśliłem się, że pojechałaś do przyjaciółki albo gdzie indziej, ale chciałem mieć pewność, że nic ci się nie stało. Łało jak z cebra.

- Trzeba było zadzwonić na komórkę.

- Na komórkę też dzwoniłem, ale nie odpowiadałaś.

- Ach! - Maggie włożyła rękę do torebki i wyjęła telefon komórkowy. - No tak, zapomniałam naładować.

Nie przyszło jej też na myśl, żeby sprawdzić wiadomości w telefonie, który miała w wozie. Nie przywykła, żeby ktoś się o nią niepokoił. Rodzina uznała jej niezależność dawno temu.

- Musisz być bardziej ostrożna, Maggie.

- Bruno był ze mną.

- Wiem o tym, ale mimo wszystko było denerwujące, kiedy nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

Usiadła obok niego na kanapie z sercem przepełnionym czułością i delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Dziękuję ci. To miłe, że się o mnie troszczysz.

- Odpowiadam za ciebie - odparł poważnym tonem. Sięgnął po kaburę i zręcznym ruchem przypiął ją sobie z tyłu do pasa.

- Zostaniesz na noc? - zapytała z nadzieją w głosie. - Mo-

żesz spać w jednym z pokoi gościnnych, a rano przygotuję ci śniadanie. Potrafię przyrządzić bardzo smaczny omlet.

- Nie zostanę.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- To nie jest dobry pomysł, żebyśmy spali pod jednym dachem. - Wciągnął buty, równie wysłużone jak jego levisy, i związał sznurowadła.

Obserwowała go z bijącym sercem, wyobrażając sobie jego ręce dotykające jej ciała.

- Fantazuję na twój temat - powiedziała nagle. - Kiedy jestem sama, dotykam się i wyobrażam sobie, że to ty.

Luke na chwilę zastygł w bezruchu i wstrzymał oddech. Wtedy dopiero dotarło do niej, co zrobiła. Zdradziła mu swój najgłębiej skrywany, najbardziej intymny sekret. Zawstydzona, objęła się ramionami, pragnąc zapaść się pod ziemię. Jej policzki oblały się rumieńcem.

- Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. Ja...

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, patrząc na siebie.

Luke czuł, że drży na całym ciele. Był zbyt zaskoczony i zbyt podniecony, żeby rozsądnie myśleć. Jeśli zaraz się nie podniesie i nie wyjdzie stąd, to rzuci się na nią i...

- Muszę już iść. - Zerwał się tak gwałtownie, że o mały włos, a potknąłby się o Bruna.

- Przepraszam - powtórzyła.

- Nie przepraszaj. - Wcisnął ręce w kieszenie, siłąc się na naturalność. - Ludzie to robią. No wiesz... fantazują.

- A ty? - zapytała i przygryzła wargę.

Luke poczuł się jak seksualnie rozbudzony nastolatek, dzieciak, który wstydzi się przyznać do naturalnych odruchów.

- Czasami, szczególnie gdy już długo... - zawahał się, szukając odpowiedniego określenia - z nikim nie byłem.

- Aha. - Maggie wzięła do rąk ozdobną poduszeczkę i zaczęła bawić się frędzlami. - A dużo czasu upłynęło?

Unikając jej wzroku, popatrzył na ścianę. Była to akurat ta, na której namalowała syreny, więc, klnąc w duchu, uciekł wzrokiem. Erotyczne przesłanie ściennego malowidła bynajmniej mu nie pomagało.

- Bardzo długo.

- U mnie też - przyznała.

Zapadła kłępiąca cisza. Maggie tuliła poduszkę do piersi, a Luke gapił

- Teczki z materiałami położyłem obok komputera.

- Dziękuję, zajmę się nimi rano.

- Wspaniale. No to ja już pójdę. - Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć w takiej sytuacji. Jej słowa wprowadziły go w stan takiego pobudzenia seksualnego, że wcale nie miał ochoty jej opuszczać.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi windy, ciężko oparł głowę o ścianę i zrezygnowanym głosem powiedział do siebie:

- Co ja najlepszego zrobiłem? Powinienem być z nią zostać. Przez nią nie zmruję oka.

Maggie nie mogła zasnąć. Rzuciła się i przewracała na łóżku, patrzyła w sufit, na zegarek, myślała o Luke'u. Znowu się rozpadało. Wsłuchiwała się w odgłos kropli uderzających o dach.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. Poderwała się z łóżka, przerażona. Ktoś, kto dzwoni w środku nocy, może mieć tylko złe wiadomości.

- Maggie, to ja - usłyszała w słuchawce zachrypnięty głos Luke'a. - Nie obudziłem cię chyba?

- Nie. Czy coś się stało?

- Nie mogę spać.

- Ja też. - Otuliła się szczelniej kołdrą.

Po chwili milczenia Luke odezwał się znowu.

- Nigdy nie uprawiałem seksu przez telefon, a ty?

- Nie. - Czuła, że krew zaczyna w niej szybciej krążyć.

- Po to dzwonisz?

- Cóż, chyba nie będę w tym dobry.

Czyżby chciał powiedzieć jej coś erotycznego? Rozpocząć jakąś zakazaną grę? Nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Na pewno nie powie mu, że ma na sobie flanelową piżamę z postaciami z kreskówek. W taką pogodę jak dziś zawsze dodawały jej otuchy.

- Szkoda, że cię tu nie ma - westchnęła z żalem.

- Ja też żałuję, ale wiem, że tak trzeba.

- Nie jest ci ze mną łatwo - mówiła dalej, świadoma swojej egzaltacji i tego, jak cienka jest linia między porywem namiętności i gniewem. - Ile razy zarzucałam ci, że się z kimś spotykasz?

- Ja też byłem zazdrosny - przyznał Luke. - Przedtem nie miało to dla mnie znaczenia. Nie czułem się poważnie związany.

- A powinieneś, Luke. Potrzebujesz kogoś. Powinieneś mieć żonę i dzieci.

- Nie nadaję się na męża - wpadł jej w słowo. - Ojcem też byłbym fatalnym.

- Ależ skąd! - Oczyma wyobraźni widziała go z dzieckiem na rękach, opowiadającego coś w języku Czirokezów. Oddany

ojciec, opiekuńczy wojownik. - Twoje dziecko byłoby szczęśliwe, mając ciebie za ojca.

- A ty chcesz mieć dzieci? - zapytał głosem drżącym z emocji.

- Tak, ale zaczęłam poważniej o tym myśleć dopiero wtedy, gdy ciebie poznałam. - Poprawiła słuchawkę przy uchu. - Chcę mieć dzieci z tobą, Luke. Pomyśl tylko, jakie byłyby cudowne. Przyjedź do mnie. Kochajmy się.

Nie odpowiadał. Czuła, że on wyobraża sobie teraz ich razem.

- To się nie może zdarzyć - rzekł wreszcie - i ty dobrze o tym wiesz. To jakieś wariactwo. O drugiej nad ranem stoję przed kominkiem i rozmawiam o płodzeniu dzieci.

- Myślałam, że leżysz w łóżku.

- Nie mogłem się położyć. Za bardzo mnie nosiło.

A więc stał tam przy ogniu, z rozświetloną twarzą, ze zmierzwionymi włosami. Złotawe błyski tańczyły po jego nagim torsie, a znoszone, wypłowiałe dzinsy luźno zwisały mu na biodrach.

Rozczuliła się. Zadzwoił do niej, bo jej potrzebował, bo sam nie potrafił zasnąć.

- Połóż się - powiedziała czule. - Będziemy zasypiać razem.

- OK - odparł rozbawiony - ale musisz mi szeptać same słoństwa.

Roześmiała się. Wiedziała, że żartuje. Będą sobie jedynie dodawać otuchy i słuchać, jak pada deszcz.

- Dzień dobry, Luke - usłyszał, gdy podniósł słuchawkę następnego dnia rano.

- Cześć, mamó - odpowiedział, starając się ukryć rozczarowanie. Maggie zdominowała jego wszystkie myśli.

- Chciałam cię złapać, zanim wyjdiesz do pracy.

- Nie ma sprawy.

- Wybieram się do lekarza.

- Co się stało? Zachorowałeś?

- Przez dwadzieścia siedem lat prawie nie ruszałam się z domu. Nie powiesz mi, że to było zdrowe.

Zaskoczony jej słowami, wstał i przeszedł z telefonem do kuchni. Potrzebna mu była dawka kofeiny. Mimo woli oczy zaszyły mu łzami wzruszenia. Matka nigdy nie mówiła o swojej chorobie tak otwarcie.

- Cieszę się, mamó, że się zdecydowałaś. Bardzo bym chciał, żebyś była zdrowa.

- Uprzykrzyłam ci życie. Opiekowałeś się mną przez ten cały czas, ale nie mogę ciągle od ciebie tego oczekiwać.

Skrzywił się, bo przez nieuwagę rozsypał trochę kawy na blat.

- Nie mam o nic żalu. Kocham cię, mamó. - To on był tym, który zawiódł, to przez niego zginęła Gwen.

- Lucas... - westchnęła ze smutkiem - ja też bardzo cię kocham. I dlatego powinnam była zrobić to dawno temu. Poproszę Maggie, żeby zawiozła mnie do doktora. Neli chyba też pojedzie ze mną. Jest w płasch od samego rana. Nie przestaje gadać o tym, jak będzie teraz wyglądało nasze życie. Masz pojęcie, chce, żebyśmy się wybrały w rejs statkiem!

Zamilkła. Luke domyślił się, że wizja wyjazdu wywołała u niej niepokój.

- Nie łudzę się, że to będzie łatwe - mówiła dalej Dana.

- Przede wszystkim jednak, chciałabym być na twoim ślubie.

- Co? - Szklany dzbanek do kawy wypadł mu do zlewu. Na szczęście się nie stłukł. - Nie zamierzam się żenić.

- Nigdy nic nie wiadomo. Może się tak zdarzyć, a wtedy muszę być przygotowana.

- Nie będzie żadnego ślubu, mamó - powtórzył z naciskiem.

- Posłuchaj tylko tego, co mówisz. Jesteś jeszcze większym tchórzem niż ja.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Shaky Shamrock” nie był spelunką, ale do eleganckich barów też nie należał. Był to zwyczajny irlandzki pub dla klasy pracującej. Luke zachodził tam od czasu do czasu. Można było zagrać w bilard, potańczyć, napić się wódki i zapomnieć o codziennych problemach.

Gdzie jest Maggie? Dlaczego ona się wiecznie spóźnia?

Wychylił kieliszek i gestem poprosił kelnerkę o drugi. Jeszcze jeden nie zaszkodzi. Co najwyżej zdejmie z niego trochę napięcia. Małżeństwo, dzieci - nie chciał o tym myśleć.

W pubie przybywało gości. Stłoczone na parkiecie pary kręciły się do muzyki miejscowego zespołu. Przy stole bilardowym kilku wesołych młodych ludzi robiło zakłady, przekrzykując muzykę. Barman, wielki Irlandczyk z obwisłym brzuchem i przerzedzonymi włosami, inkasował pieniądze za kolejne drinki.

Kiedy Maggie pojawiła się w drzwiach, ściągnęła na siebie wszystkie spojrzenia. Nic dziwnego. Nie tylko była powszechnie rozpoznawana, ale też wyglądała nadzwyczajnie. Pod luźnym płaszczem w biało-czarne pasy połyskiwała ściśle przylegająca do ciała sukienka ze skóry. Kobieta w takim stroju mogła równie dobrze przypiąć faceta kajdankami do łóżka. Całości dopełniały wysokie botki na szpilce.

Luke nie mógł oderwać od niej oczu. Wstał, kiedy podeszła do jego stolika.

- Spóźniłam się? - zapytała z czarującym uśmiechem.
- Wiesz, że tak.

Zdjęła płaszcz, a on stanął za nią, żeby podsunąć jej krzesło. I wtedy zauważył, że suknia jest bez pleców.

- Coś nie tak? - Spojrzała na niego przez ramię.
- Nie... Napijesz się czegoś? - zaproponował. Sam też postanowił jeszcze się napić. Który to będzie kieliszek? Siódmy? Ósmy? A co za różnica?

- Poproszę o kieliszek białego wina.

Nie czekając na kelnerkę, sam przyniósł drinki z baru.

- Często tu przychodzisz?

Wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu. Rzadko wychodzę z domu.

Rozejrzała się.

- Nawet przytulnie. I tak swojsko. - Uśmiechnęła się.

Przytulnie, powtórzył w myślach. Nie miała na sobie biustonosza. Widział przecież jej nagie plecy i intrygującą linię kręgosłupa.

- O czym myślisz, Luke?

O seksie z tobą, chciał odpowiedzieć.

- O sprawie.

Przysunęła krzesło bliżej stolika. Z głośników rozbrzmiewał stary, dobry rock - rozedrgane dźwięki gitar, stłumione basy, rytmiczne uderzenia perkusji.

Ciekawe, co by powiedziała, gdyby poprosił ją, żeby dla niego zatańczyła. Powiedzmy, taki rozbierany taniec przy rurze.

- No i...? - Czekała na informację.

Zatopiony w myślach nie odpowiadał.

- Luke? Co z tą sprawą?

- Może lepiej porozmawiajmy na zewnątrz - rzekł, patrząc na nią półprzytomnym wzrokiem. Był pijany, a ona zniewalała go swoim zabójczym wyglądem.

Maggie wstała, podał jej płaszcz.

Na dworze panował wilgotny chłód. Luke odetchnął głęboko, wypuszczając kłęby pary.

- Ile dziś wypiteś, Luke? - Maggie zmierzyła go spojrzeniem.

- Straciłem rachubę - odparł - ale pamiętam, co ci miałem powiedzieć. Właściciel przedzalni nie żyje. Atak serca.

- Pewien jesteś, że nie został zamordowany?

- Na sto procent. Nie wytrzymał napięcia.

- I to wszystko? Nie mogłeś mi tego powiedzieć przez telefon?

- W barze jest bezpieczniej.

- Ciekawe dla kogo - powiedziała, odbierając mu kluczyki od samochodu.

Dla facetów, którzy nie chcą się żenić, odpowiedział w myślach.

- A gdzie twoje lamborghini?

- Kiedy wybieram się na randkę - wepchnęła go do wozu - zwykle biorę taksówkę.

- Ta randka chyba ci się nie udała.

- Pamiętam lepsze. - Usiadła za kierownicą i włączyła silnik.

Trzy dni później Luke i Maggie przygotowywali kolację u niego w kuchni. On przysmażał mięso do tacos, a ona kroїła w kostkę pomidory i cebulę.

Luke nie mógł sobie darować, że się wtedy upił. Miał się przecież nią opiekować. A gdyby zjawił się wtedy Rocky Palermo?

- Przepraszam cię - rzekł.

Maggie zamrugała powiekami. Od krojenia cebuli miała oczy pełne łez.

- Za co?

- Za tę nieudaną randkę.

- Luke, ile razy będziesz mnie za to przepraszał?

- Obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię. Nie może być tak, żebyś to ty się mną opiekowała.

- Przesadzasz. Zawiozłam cię do domu, to wszystko. Do łóżka trafiłeś sam.

I zaraz szybko odpłynąłem, przypomniał sobie.

- Jeszcze raz przepraszam.

- Nic nie szkodzi. - Zsunęła cebulę z deski do miski. - Powiedzieć ci, co z twoją mamą?

- Jasne. - Zmniejszył ogień. Zapach ostrych przypraw wypełniał kuchnię.

Tego dnia Maggie zawiozła mamę do lekarza. Wiedział o tym, ale nie chciał zadawać natrętnych pytań.

Maggie wyjęła sałatę z lodówki i włożyła ją do zlewu.

- Doktor przepisał jej środek antydepresyjny, ale to potrwa, zanim dobiorą odpowiedni. Jedne środki działają lepiej, inne gorzej. To sprawa indywidualna.

- Więc to trochę jak loteria?

- Mniej więcej. Zalecił także terapię grupową. Będzie spotykać się z ludźmi, którzy mają podobne doświadczenia. - Westchnęła ciężko. - Nie uwierzyłbyś, ilu ludzi cierpi z powodu różnych społecznych fobii. Gospodynie domowe, dyrektorzy

przedsiębiorstw, gwiazdy filmowe. Niektórzy, tak jak twoja mama, zamykają się w domu, inni wydają się funkcjonować normalnie, ale naprawdę przez cały czas zmagają się z ogromnym lękiem.

Luke pokiwał głową. Początkowo jego mama też udawała, że wszystko jest w porządku.

- To straszne - rzekł.

- Dana ma mocne postanowienie przejść przez całą terapię. Wie jednak, że nie będzie to łatwe. Nie oczekuje też cudów. Najtrudniej jej będzie pójść dokądś samej. Dotąd zawsze miała przy sobie ciebie albo Neli.

- Dziękuję, że się tym zajęłaś.

Zrobił krok w jej stronę, a ona odłożyła sałatę i wyciągnęła do niego ręce. Objął ją, czule gładząc po włosach. Była taka ciepła i delikatna.

Spojrzała mu w oczy, a on nagle się przestraszył. Chyba nie wymyśliła sobie tej miłości? A może? W jej wieku nietrudno pomylić miłość ze zwykłym pożądaniem.

Zrobił krok do tyłu i wypuścił ją z objęć. Potem szybko zajął się mieszaniem mięsa na patelni. Dobrze, że nie został wtedy na noc. To tylko bardziej by wszystko skomplikowało. Wygra zakład i na tym się skończy. Nowy Rok już blisko. Ona może być bogatym, kapryśnym Kopciuszkim, ale on na pewno nie nadaje się na Królewicza.

- Mam zetrzeć ser? - zapytał, chcąc sprowadzić myśli na właściwe tory.

- Kupiliśmy tarty, nie pamiętasz?

- To nakryję do stołu.

Chwytał talerze i sztuczki i zaniósł je do jadalni. Za chwilę Maggie wniosła tackę z przyprawami i postawiła ją na stole.

- Masz piękną choinkę - zauważyła.

- Dzięki.

Zawiesił na drzewku pióra oprawione w skórę, sznurki turkusowych paciorków, srebrne pierścienie. Indiańskie ozdoby przypominały mu, kim jest i skąd pochodzi.

- Odwiedzasz czasami rodzinę ojca w rezerwacie?

- Nie tak często, jak bym chciał. Dziadkowie już nie żyją, ale mam tam paru dalszych krewnych.

- Na pewno jest tam przepięknie.

- O, tak... - przypomniał sobie sielskie obrazki z Qualla Boundary. Zielone pastwiska na wzgórzach, ukwiecone łąki, wijące się strumienie. - Tam zaczynają się Great Smoky Mountains. Najpiękniej jest o świcie, kiedy słońce przebija się przez mgły.

- Bardzo bym to chciała kiedyś zobaczyć. Nigdy nie byłam w Karolinie Północnej.

Parę minut później zasiedli do kolacji. W połowie posiłku odezwał się telefon. Dzwonił jeden z agentów.

- Rano lecę do Altarii - oznajmił Luke, odkładając słuchawkę. - Szef ochrony w Rosemere Institute jest bliski załamania nerwowego. Wkrótce powie nam, co wie.

- Jadę z tobą - powiedziała zdecydowanie Maggie.

Nie było sensu się spierać, bo za tydzień i tak miała być w Altarii z całą rodziną.

- Dobrze, ale Bruno jedzie z nami. - Na szczęście w Altarii nie było przymusowej kwarantanny dla zwierząt, a książeczka szczepień Bruna była bez zarzutu. - Pamiętaj jednak, że kiedy tam będziemy, to ja jestem szefem.

Odrzutowiec wyposażony był we wszystko, co można nabyć za pieniądze: ekskluzywny salon, pełny barek, jedwabna pościel

i puchowe poduszki w sypialniach. Maggie sęczyła śliwkowe wino i pogryzała sushi. Dla niej taka podróż nie była niczym nowym, zwłaszcza do Altarii. Na tę odległą wyspę można się było dostać tylko jachtem albo prywatnym odrzutowcem. Lotnisko było zbyt małe, żeby przyjmować samoloty rejsowe.

Na Luke'u luksusowe wyposażenie zdawało się nie robić specjalnego wrażenia. Siedział obok Maggie na włoskiej kanapie i z uwagą przeglądał swoje notatki. Bruno ziewał na posłaniu w kącie. Maggie uśmiechnęła się do siebie. Stanowili dobrane trio.

Luke spojrzał na nią znad notatek.

- Mam nadzieję, że szef ochrony będzie miał nam dużo do powiedzenia.

- Szczególnie że Cyrus Koresh, jeden z naszych głównych podejrzanych, nie żyje.

- Wiemy, że CD-ROM-y przemycano w transportach koronek z jego fabryki. Poza tym nie był notowany i nic nie wiadomo o jego kryminalnej przeszłości. Jedynie to, że był chorobliwie ambitny.

- Musiał mieć jakieś towarzyskie kontakty z kimś z kręgu podejrzanych.

- Należał do tego samego klubu co Gregor Paulus. Może to być tylko zbieg okoliczności, ale coś mi podpowiada, że to Paulus wciągnął go do interesu. - Luke rozprostował nogi. - Cała ironia w tym, że jego żona zmarła na raka.

- Naprawdę? To dlaczego Cyrus się na to zgodził?

- Nie sądzę, żeby wiedział, co przemycą. Ktoś obiecał mu szybką kasę, a on na to poszedł.

- No i teraz nie żyje.

Luke pokiwał głową.

- Miał słabe serce i ten stres go wykańczał. Ktoś musiał mu powiedzieć, że Rafe wpadł na trop całej afery.

- A pozostali, twoim zdaniem, co teraz robią?

- Przyczaili się, jak sądzę. Albo też trzęsą się ze strachu jak ten szef ochrony.

- Martwię się o Daniela - powiedziała, wciąż pamiętając o nieudanym zamachu na jego życie.

- Króla strzeże Królewska Gwardia. Ja się bardziej boję o ciebie - rzekł Luke, pakując notatki do skórzanej teczki. - Praca ze mną naraża cię na niebezpieczeństwo.

- Nic mi nie będzie. W końcu mam dwóch obrońców: wielkiego psa i byłego komandosa.

- Przed nami długi dzień, Maggie. Powinnaś trochę odpocząć.

- Zrobiłam się jakaś senna - odrzekła Maggie. Podejrzewała, że to od wina. Zerknęła w stronę sypialni, ale ostatecznie postanowiła zostać tam, gdzie jest. Wyciągnęła się na kanapie i położywszy Luke'owi głowę na kolanach, patrzyła na niego. Luke pieścizotliwie pogładził ją po policzku.

- Zamknij oczy - wyszeptał, bawiąc się kosmykiem jej włosów.

Rozmarzona, przytuliła się.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dunemere, nadmorska willa należąca do rodziny Rosemere'ów, stała tuż nad brzegiem morza. Luke i Maggie patrzyli z balkonu na spienione fale. Luke przypomniał sobie syreny namalowane przez Maggie i pomyślał, że gdyby faktycznie istniały, to wody Altarii byłyby dla nich wymarzonym miejscem. Wyspa zachwycała białym piaskiem plaż, kołyszącymi się na wietrze palmami, ostrymi wierzchołkami gór.

- Muszę się przebrać - powiedział Luke, wracając do pokoju. Zajmowali dwa sąsiadujące z sobą apartamenty, pomiędzy którymi znajdowały się drzwi, nie zamykane na klucz. Maggie usiadła na brzegu swojego łóżka i spoglądała na niego ciekawie.

- Co robisz? - spytał.

- Nic - odparła nieco zbyt niewinnie.

Wiedział, że chce go sprawdzić: rozbierze się przy niej czy nie. Wyjął ciemny garnitur z szafy i powiesił go na wieszaku.

- Zmiataj stąd, dziewczynko! - Zrobił gest, jakby ją odpędzał. - Poszukaj jakichś ciasteczek w kredensie albo jeszcze czegoś.

- Bardzo zabawne, stary zgredzie.

Roześmiali się oboje i po raz pierwszy różnica wieku wydała się prawie bez znaczenia.

Maggie wstała, podeszła do niego i chwyciwszy go za ramiona, cmoknęła w usta.

- Niech ci się uda z tym szefem ochrony.

- Dzięki. - Użył wszystkich pokładów silnej woli, żeby nie rzucić jej na łóżko i nie zerwać z niej tych zwiewnych ciuszków. Patrzył, jak znika za drzwiami łączącymi ich pokoje, i odetchnął z ulgą.

Niecałą godzinę potem siedział naprzeciw Rowana Neville'a, szefa ochrony w Rosemere Institute. Biuro było czyste i schludnie urządzone, z dużym biurkiem i metalowymi szafkami na dokumenty.

Neville nerwowo palił papierosa za papierosem, przypalając jednego od drugiego. Jego rumianą, ogorzałą twarz okalały siwiejące blond włosy. Zbyt mocno zaciśnięty na szyi krawat sprawiał wrażenie, że za chwilę się udusi.

Luke patrzył na niego badawczym wzrokiem. Miał informacje, że Neville rzucił palenie dwadzieścia lat temu. To, co widział, zupełnie im przeczyło.

Podsunał Neville'owi oficjalne pismo z królewską pieczęcią.

- Jestem tu z polecenia króla, żeby porozmawiać o projekcie „Genom”.

Tak się nazywały badania, w których wyniku doszło do powstania wirusa.

Neville poruszył się nerwowo i ponownie zaciągnął papierosem, jakby jego życie zależało od zawartości nikotyny w płucach.

- W takim razie powinien pan porozmawiać z naukowcami, a nie ze mną.

- Król życzył sobie, żebym porozmawiał właśnie z tobą, Rowan. Jakiś czas byłeś pod obserwacją. Zainteresowało nas

twoje dziwne zachowanie. - Z kamienną twarzą obserwował każdy ruch Neville'a. - W tym tygodniu wychodziłeś z biura wcześniej niż zwykle, bardzo się dokądś spiesząc. Dokąd?

- Do domu, do rodziny.
- A powód?

Neville zgasił niedopałek i bezradnie miętosił pustą paczkę po papierosach.

- Zeszłej soboty spotkałem faceta, który groził, że ich zabije.

Serce podskoczyło Luke'owi do gardła, ale na twarzy nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

- Co to za człowiek?
 - Taki jeden, z blizną. - Neville przesunął palcem po szyi.
- Zmusił mnie, żebym dla niego pracował. Dobrze znałem system zabezpieczający i mogłem coś w nim zmienić. W nocy nikt nie miał dostępu do laboratorium, nawet pracownicy naukowi.

Luke nachylił się w stronę biurka.

- Ale dzięki tobie ktoś mógł się tam dostać?
- Tak. Było ich dwóch. Jeden trzymał mnie na muszce, a drugi szedł do pracowni komputerowej. Dziesięć razy tak z nimi chodziłem. Musieli tam ciągle wracać, bo to, czego szukali, było zarchiwizowane w pamięci różnych komputerów. Trzeba było przeglądać różne pliki.

- Opisz mi ich dokładnie. Jak wyglądali?
- Nie potrafię. Za każdym razem mieli na głowach kominiarki.
- Ale człowieka z blizną widziałeś.
- Parę razy w zeszłym roku, kiedy to się wszystko zaczęło. To żaden z tych dwóch.
- Skąd ta pewność?

- Był potężnie zbudowany. Szerszy w barach.

Luke podrapał się po brodzie. Albo Rowan Neville był wytrawnym kłamcą i starał się zmylić trop, albo faktycznie się przestraszył i drżał o bezpieczeństwo swoich najbliższych.

- Twierdzisz, że spotkałeś tego człowieka z blizną w ubiegłą sobotę, tak?

Neville skinął głową.

- Na przystani. Byłem na spacerze z dziećmi. - Przerwał i wziął głęboki oddech. - Miał wąsy, dłuższe włosy i nosił sweter z golfem, więc blizny nie widziałem, ale wiem, że to on. Ta sama budowa ciała, ten sam chód. Poza tym - ściągnął brwi - nie zapomina się człowieka, który grozi, że zabije twoje dzieci.

- Widział cię?

- Tak, ale szybko się odwrócił. Rozmawiał z jakimś mężczyzną.

Kiedy Luke pokazał mu kilka zdjęć, Neville od razu rozpoznał Rocky'ego Palermo, ale zdjęciu Paulusa przyglądał się dłużej.

- To mógłby być ten drugi facet z przystani. Też był wysoki i szczupły, ale nie mam pewności, czy to ten sam, bo miał na sobie kurtkę z kapturem i ciemne okulary.

Luke postanowił poddać te zdjęcia obróbce komputerowej tak, by bardziej odpowiadały opisowi Neville'a.

- Będziemy w kontakcie - powiedział. - To jest prywatne śledztwo i na razie z nikim o tym nie rozmawiaj.

- Boję się o moje dzieci - odezwał się Neville, przestraszony. - Po tym, co wam powiedziałem, może im grozić jeszcze większe niebezpieczeństwo. Czy mógłby pan wstawić się za mną do króla i poprosić o ochronę dla mojej rodziny?

- Zrobię to - obiecał Luke. Wiedział, że Rowan Neville miał dwie małe córeczki.

Dwa dni później Luke i Maggie spotkali się przy kolacji w jego apartamencie. Kolację podała pokojówka, która pracowała w Dunemere od lat. Ona i pozostali pracownicy zostali poddani szczegółowej kontroli i chociaż okazali się czyści, Luke nadal kazał sprawdzać, czy w ich pokojach nie ma podsłuchu. Nikomu, jego zdaniem, nie można było zaufać. Siedział teraz milczący i bawił się widelcem.

- Nie smakuje ci jedzenie? - zapytała Maggie.

Danie wyglądało imponująco: łosoś w klonowym sosie, podsmażane grzyby i śmietankowe krakersy.

- Wspaniałe - odparł.

- Skąd możesz wiedzieć, skoro nie spróbowałeś?

Musiał jej przyznać rację. Ledwie tknął sałatki z soczewicy i szpinaku, ale naleśników z mąki ryżowej z kawiozem i kwaśnym kremem nawet nie ruszył. Zmuszając się do skupienia uwagi na jedzeniu, wbił widelec w łososia. Zamruczał z zachwytem. Ryba dosłownie rozpułyła mu się w ustach.

- To prawie tak dobre jak seks - powiedziała Maggie z figlarnym uśmiechem.

- Prawie - przyznał, nagle zdając sobie sprawę z niezwykłych okoliczności tego wspólnego posiłku.

Na dworze zawodził wiatr, spienione fale rozbijały się o brzeg, a oni siedzieli w zacisznym pokoju, grzejąc się w ciepłe kominka. Oczy Maggie płonęły magicznym blaskiem, błyszczały jak klejnoty w świetle świec.

Mimowolnie spojrział w stronę łóża. Gdyby ją poprosił, położyłyby się z nim. Na samą myśl o tym całe jego ciało zapło-

nęto. Szybkim ruchem chwycił szklankę z wodą i wychylił do dna. Dobrze wiedział, że gdyby raz się z nią przespał, to nigdy nie pozwoliłby jej odejść.

- Chciałbym ci krótko opowiedzieć o tym, co dzieje się w śledztwie.

- Oczywiście - odparła, mrugając powiekami, jakby myślała, że gdzie indziej. - Przecież właśnie dlatego jemy kolację u ciebie.

Pokiwał głową. Musieli mieć pewność, że nikt ich nie podsłucha.

- Rowan Neville zidentyfikował Rocky'ego na tych komputerowych portretach, ale co do Paulusa nadal nie miał stuprocentowej pewności, a bez tego dowodu jesteśmy w kropce.

- Przecież wiesz dobrze, że to był Paulus. Mamy tylko siedzieć i czekać?

- Niezupełnie. - Luke nabrał pełny widelec grzybów i włożył sobie do ust. Nie był ich wielbicielem, ale smakowały wyśmienicie. - Król zasugerował, że można by urządzić prowokację.

- Naprawdę? - W oczach Maggie zapaliły się mściwe ogniki. - Urządzimy zasadzkę na Gregora Paulusa?

- Nie my, ale tajny agent.

Mina jej zrzędała.

- To jaki jest plan?

- Jeszcze nie przygotowałem szczegółów, ale myślę, że można mu podstawić kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem skradzionych plików. O ile się orientuję, jeszcze nie trafiły na czarny rynek. Prawdopodobnie ich haker ciągle próbuje złamać kody dostępu. Zakodowane nie są nawet w przybliżeniu tyle warte, ale Paulus może pójść na szybką, łatwą sprzedaż.

- A pewien jesteś, że je ma? Miały trafić do Kellych w Chicago.

- Po ich aresztowaniu Paulus na pewno wysłał Rocky'ego, żeby mieć je z powrotem.

Maggie oparła się wygodnie na krześle i popatrzyła poważnie na Luke'a.

- Nie potrzebujemy żadnego tajnego agenta. Ja mogę to zrobić.

Luke omal nie zakrztusił się puddingiem.

- Co proszę?

- Zastanów się nad tym chwilę. Świetnie się do tego nadaję. - Zanim był w stanie jej odpowiedzieć, ciągnęła dalej: - Przekonam Paulusa, że mam potencjalnego nabywcę, ale sama też chcę na tym skorzystać. I na tym polega genialność tej intrygi. Paulus ma dojszcie do niektórych plików, a ja do pozostałych. Do tego mogę zdobyć kody dostępu. Możemy wspólnie sprzedać wszystkie pliki i zbić na nich fortunę.

- A dlaczego miałby ci wierzyć? Przecież praktycznie mieszkamy razem. Cały świat wie, że jesteśmy kochankami, a Paulus wie i to, że zajmuję się tą sprawą. Nie jest idiotą. Zabili twojego dziadka, wuja, mojego partnera.

- I dlatego powinno zadziałać. Mam okropną reputację, podobnie jak ksiązę Mark. Często mnie do niego porównywano, a on przecież miał swój udział w tej aferze.

- Był winien mafii pieniądze, a ty jesteś dwudziestodwuletnią malarką z pakietem akcji wielkiej korporacji.

- Jeśli chcesz wiedzieć, nie mam do nich prawa, dopóki nie skończę trzydziestu lat. - Potrząsnęła włosami. - Tym też można zagrać. Mogę powiedzieć, że potrzebuję dużo więcej niż te okrawki, które dostają od ojca-dusigrusza.

Luke nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- A ja? Jak się wytłumaczysz ze związku ze mną?
- Ciebie wykorzystywałam, żeby mieć dostęp do plików.

I oczywiście padłeś ofiarą moich wdzięków.

Luke chwycił nerwowym ruchem szklankę i wypił duży łyk. Czy ona zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża? Pakuje się do gniazda szerszeni, nie mając nic oprócz swej młodości i znajomości paru kobiecych sztuczek.

- Twój udział w akcji jest absolutnie wykluczony. Nawet się nie będę nad nim zastanawiał.

Podniosła się gwałtownie od stołu, poruszając całą zastawę.

- Wiem, że to się może udać. To dobry plan i gdybyś mi pomógł go dopracować, mielibyśmy Paulusa w garści.

Luke wstał i zbliżył się do niej. Patrzyła na niego wyzywająco, z podniesioną głową.

- To niebezpieczne - powiedział z naciskiem. - I nawet gdybym był przekonany, że Paulus da się nabrać, nie zgodziłbym się, żebyś brała w tym udział.

Zależało mu na niej! Bardziej niż potrafiłby to wyrazić. Gdyby coś się jej stało, nie mógłby dalej żyć.

- Ale...

- Ani słowa na ten temat - uciął i wzburzony przyparł ją do ściany.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak blisko siebie stoją. Ich twarze dzieliły centymetry, a ciała niemal ocierały się o siebie.

Maggie wciąż była wściekła. Prychnęła jak kotka i wtedy przestał panować nad sobą. Odchylił jej głowę do tyłu i zamknął usta pocałunkiem. Wczepiła się w niego palcami. Ich języki dotykały się. Luke jedną ręką chwycił Maggie za nadgarstki i przytrzymał jej ręce nad głową.

Wiedział, że powinien spasować, uwolnić ją, zdusić w sobie chęć zderzenia z niej ubrania. Maggie Connelly mogła narobić kłopotów. Jej emocje były nie do ogarnięcia. Była jednak za młoda. Zbyt lekkomyślna i zbyt niezależna.

Kiedy przestał ją całować, spojrzała mu prowokująco w oczy. Z włosami w nieładzie wyglądała jak mała złośnica. Rozgrzana, gotowa do starcia.

- Zrób to - powiedziała. - Bierz, co chcesz.

Kusiła go, wykorzystując jego słabość. Nagle zrobiło mu się wszystko jedno. Pokusa była zbyt silna.

Maggie miała na sobie czerwoną jedwabną sukienkę z mnóstwem błyszczących guziczków. Jednym szarpnięciem rozdarł materiał, a guziki rozsypały się we wszystkie strony, odsłaniając pod spodem biustonosz w kolorze jej skóry. Drugie szarpnięcie odsłoniło majteczki, a na nich wymyślny pas i pończochy. Zupełnie jakby wiedziała, jakby przygotowywała się do tej chwili od dnia, w którym poprosiła go do tańca.

- Zdejmij to wszystko z siebie - rzekł. - Chcę widzieć, jak się rozbierasz.

Posłusznie zdjęła z siebie podartą sukienkę, rozpięła biustonosz, pozwalając, żeby upadł na podłogę. Dotknęła swoich piersi, a ciałem Luke'a wstrząsnął dreszcz. Niecierpliwym, podnieconym śledził każdy jej ruch.

Zsunęła z nóg czerwone szpilki i odrzuciła je w kąt. Potem pas i pończochy. Kiedy ściągnęła majteczki, na sekundę wsunęła rękę między uda. Na jedną, szaloną, erotyczną sekundę.

Luke nie mógł już dłużej zwlekać. Nie mógł pozwolić tej fantazji wymknąć się spod kontroli. Upadł na kolana i chwycił ją za biodra, przyciągnął do swych ust. W pierwszej chwili Maggie skuliła się, ale już w następnej zaplątała palce w jego

włosy i jeszcze mocniej przywarła do niego. Ocierała się o niego, wydając ciche, gardłowe jęki.

Młoda. Niezależna. Spontaniczna.

Luke całował ją, penetrował językiem i rozkoszował się jej kobiecym smakiem.

- Luke - wyszeptała, z trudem łapiąc oddech, a on nie ustawał w intymnej pieśczoce, aż zadrżała gwałtownie. Ale i wtedy nie odrywał warg, dopóki nie poczuł, że zelżało w niej napięcie. Wtedy podniósł się, żeby omdlałą pochwycić w ramiona i zanieść do łóżka.

Maggie wydawało się, że płynie w powietrzu. Pocałowała go, lekko muskając wargami.

- Czasami, gdy patrzę na ciebie, muszę sobie przypominać, żeby nie przestać oddychać - rzekł.

Wciąż oszołomiona, zatrzepotała rękami. Nie spodziewała się takiego romantycznego wyznania. Jeszcze niedawno doprowadzał ją do furii. Dotykała jego twarzy, zapamiętując palcami jej kształt.

- Jesteś teraz moim kochankiem.

Moim sercem, dodała w myślach. Mężczyznę, którego kocham.

Luke odgarnął kołdrę i położył ją na prześcieradle. Przyjemny chłód pieścił jej skórę. Kiedy wyciągnęła ku niemu ręce, pokręcił głową.

- Jeszcze nie - powiedział, lekko skubiąc jej dolną wargę zębami. - Musimy się zabezpieczyć.

Po chwili wrócił z łazienki i położył maleńki pakiecik na nocnym stoliku. Pośpiesznie ściągnął koszulę i rzucił ją na podłogę. W chwili kiedy rozsunął suwak u spodni, Maggie pociągnęła go na łóżko. Radośnie turlali się po prześcieradle, całując się i pozbywając reszty bielizny.

Ciało Luke'a było zdrowe i silne. Maggie przesunęła dłonie po szerokich ramionach, po piersi i brzuchu. Tej nocy cały należał do niej.

Luke nie pozwolił jej jednak na zbyt długą swawolę i znowu przejął kontrolę. Rozdarł opakowanie, nałożył kondom i rozchylił jej uda. Przyjęła go. Był delikatny i bezwzględny zarazem. Niecierpliwy i łagodny. Wchodząc głęboko i cofając się, raz za razem, potęgował jej doznania. Wargami i językiem pieścił jej sutki, a ona wyginała się, chcąc wyjść mu naprzeciw. Jego ręce, zręczne ręce wojownika, były wszędzie, elektryzując ją każdym dotknięciem.

- Chciałbym, żeby to się nigdy nie skończyło - powiedział cicho. - Chciałbym zostać w tobie na zawsze.

Słyszała szum fal, jakby trzymała muszlę przy uchu. A może tak szumiała jej wezbrana krew? Przyłgnał czołem do jej czoła i na chwilę świat się zatrzymał. Było tylko ich dwoje. Kochankowie z morza.

Znowu go pocałowała. Pragnęła zajrzeć do jego serca, uleczyć mu duszę. Ten piękny mężczyzna miał ciemne oczy i ciemną, niezgłębioną duszę. Emocje, jej i jego, snuły się nad nimi niczym welon z mgły. Wznosiły się coraz wyżej i wyżej.

Spletli ręce, a on przyspieszył rytm. Głębiej. Mocniej. Opełtańczy rytm. Wreszcie jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Luke obudził się przed świtem. Usiadł na łożku i popatrzył na śpiącą Maggie. Wyglądała uroczo - naga pod jasnoniebieskim prześcieradłem, z potarganymi włosami rozsypanymi wokół twarzy.

Przygładził jej włosy i pocałował w czoło. Wydała z siebie jakiś nieokreślony dźwięk i przewróciła się na bok. Uśmiechnął się do siebie. Wiedział już, że nie była rannym ptaszkiem.

Luke lubił wstąpić wcześnie. Umył twarz i zęby, włożył szary dres i buty do biegania. Potem zasiadł z kubkiem kawy na balkonie i rozkoszował się widokiem na morze i pustą plażę. Mógł godzinami wpatrywać się w horyzont, czekając na wschód słońca.

Pierwsze, czerwonożółte promienie przedarły się przez chmury, kiedy usłyszał za plecami głos Maggie:

- Spodziewałam się, że cię tu znajdę.

W białym jedwabnym szlafrocisku, z rozczochranymi włosami, patrzyła na niego zaspana. Zrobiła parę kroków w jego kierunku i oparła się o barierkę. Pod cienkim materiałem zaznaczał się zarys jej nagiego ciała. Wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Mogłaby inspirować poetów, tancerzy, pieśniarzy. Ale

na pewno inspirowała jego. Pobudzała jego zmysły i wyobraźnię. Wiedział, że po tej pierwszej wspólnej nocy nigdy już nie będzie taki sam. Za jej sprawą coś się w nim odmieniło.

- Zamówić śniadanie? - zapytała.
- Nie dla mnie. Ja idę pobiegać.

Zawsze szedł biegać, zanim wziął prysznic. Nie chciał, żeby myślała, że jej unika, ale dzisiaj szczególnie potrzebował czystego umysłu. Wolnego od rozterek na temat ich przyszłości.

- Weźmiesz Bruna? - zaproponowała. - Pewnie chce wyjść.
- Jasne.

Maggie otworzyła drzwi do swojego pokoju i przywołała psa. Zjawił się w jednej sekundzie.

- Poczekam ze śniadaniem do czasu, gdy wrócisz - powiedziała i obdarowała go na drogę czułym całusem.

- OK - odpowiedział, po czym wziął do ręki smycz i ruszył z psem na plażę.

Następnego dnia po południu umówili się na spotkanie z księżniczką Catherine. Usiedli razem na tarasie w Dunemere, skąd rozciągał się kojący widok na morze. Luke pił kawę, a Maggie i księżniczka Catherine rumiankową herbatę z miodem. Taca z jagodowymi rożkami pozostawała nietknięta.

Przyglądając się Catherine, Maggie była pełna zachwytu dla jej urody. Małżeństwo z szejkiem Russardem najwidoczniej jej służyło. Był jej miłością i bratnią duszą. Tak jak Luke dla mnie, pomyślała, zerkając na ukochanego.

- Czy Gregor Paulus był zaufanym twojego ojca? - zapytał Luke.
- Tak. Był mu dość oddany.

- Zatem ksiązę Mark mógł mu powierzyć praktycznie każdą tajemnicę?

Skinęła głową, odstawiając filiżankę na stół.

- Tak sądzę.

- A jakie jest twoje zdanie o Paulusie?

- Szczerze mówiąc, nie lubię go. Ani trochę - dodała. - Kiedy byłam dzieckiem, robił wszystko, żeby ojca do mnie zrazić.

A ksiązę Mark był zbyt zajęty sobą, żeby to zauważyć, pomyślała Maggie.

- A teraz? - zapytał Luke. - Jak teraz cię traktuje?

- Po śmierci ojca próbował mną manipulować. Tamtego dnia to ja miałam popłynąć łodzią, nie ojciec. - Upiła łyk herbaty i odetchnęła morskim powietrzem. - Gregor chciał, żebym miała poczucie winy. Cały czas dawał mi do zrozumienia, że to wszystko stało się przeze mnie.

- Drań - zamruczał pod nosem Luke.

- Cóż, dziś nie pozwalam mu już się tak traktować. Trzyma się z dala ode mnie.

- Dziękuję ci za to, że poświęciłaś nam swój czas. Wiem, że masz za sobą trudny okres. Jeszcze tylko jedno pytanie. Dlaczego ksiązę Mark prowadził królewską łódź tamtego dnia? Z tego, co wiem, nie było tego w planach.

- Król Thomas życzył sobie, żeby na łodzi zawsze towarzyszył mu ktoś z rodziny. Postarzał się i coraz bardziej zawodził go wzrok. Od pewnego czasu sam nigdy nie prowadził, chociaż wiedzieli o tym tylko nieliczni.

- I to ty miałaś pilotować łódź, a ojciec zastąpił cię w ostatniej chwili?

- Tak. Gregor mógł z łatwością wykorzystać to przeciwko mnie.

Niedługo potem Maggie odprowadziła kuzynkę do limuzyny, która czekała, aby zawieźć ją do pałacu. Na pożegnanie uściślały się bez słów. Cóż mogła jej powiedzieć? Catherine wiedziała już o zdradzie ojca i sama musiała sobie z tą wiedzą poradzić.

Kiedy wróciła do Luke'a, stał z rękami w kieszeniach, zapatrzony w morze. Wiatr szarpał poły marynarki. Bardzo chciała, żeby jej zaufał, żeby dał sobie pomoc w zakończeniu tej sprawy.

- Książę Mark był słabym człowiekiem - rzekł, zwrócony do niej plecami.

- Niestety, tak. - Podeszła bliżej. Luke wciąż obserwował morze, jakby ten widok pomagał mu w koncentracji.

- I dlatego zaufał komuś takiemu jak Paulus. - Odwrócił się ku niej, a wiatr zasłonił mu włosami twarz. - Myślę, że Paulus go w to wciągnął.

- Jak to? To Mark miał układy z mafią Kellych.

- Zgadza się, ale podejrzewam, że to Paulus go zachęcił do wejścia z nimi w układy.

- Ale Paulus nie mógł przecież wiedzieć o wywołującym raka wirusie.

- Prawdopodobnie książę Mark już wcześniej wspomniał mu o tym odkryciu, a kiedy później zwierzył się ze swoich kłopotów z rodziną Kelly, Paulus wpadł na pomysł, dzięki któremu książę miał szansę wyjść z opresji.

Maggie westchnęła.

- Mark zaakceptował ten plan, bo to Paulus miał za niego wykonać brudną robotę - podsumowała i patrząc Luke'owi prosto w oczy, postanowiła, że musi przekonać go do swojego pomysłu. - Musisz mi pozwolić...

- Nie! - przerwał jej w pół słowa. - Nie zgadzam się, żebyś brała w tym udział.

- Dlaczego tak się przy tym upierasz? Proszę cię jedynie, żebyś mi pozwolił go podejść. Będę na podsłuchu, a ty gdzieś w pobliżu, na wszelki wypadek. Do tego Bruno będzie ze mną. Po co mi mastiff obrońca, jeśli nie mogę go wykorzystać?

Luke zmierzył ją zagniewanym spojrzeniem.

- Paulus ma alergię na psy i nie ma szans, żeby w obecności Bruna mógł prowadzić jakąś sensowną rozmowę. A ja nie zamierzam przyglądać się z boku, jak kobieta, z którą sypiam, ryzykuje życie. Nigdy się na to nie zgodzę.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Maggie kipiała ze złości. Przyszło jej do głowy, że powinna się zbuntować i sprawę z Paulusem załatwić na własną rękę. O, tak! Udowodni temu uparciuchowi, że stać ją na wiele więcej, niż mu się wydaje.

- Nawet o tym nie myśl - odezwał się.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła.

- Akurat! Masz to wypisane na twarzy.

Odgarnęła zabłąkany kosmyk włosów. W głębi duszy zdawała sobie sprawę, że wciągnięcie Paulusa w pułapkę bez pomocy Luke'a byłoby prawie niemożliwe. Ale miło było sobie coś takiego wyobrazić. Marzyć każdy może.

Po długim, odświeżającym prysznicu Luke wyszedł z kabiny, przewiązując sobie ręcznik na biodrach. Maggie siedziała przed lustrem w miękkiej podomce i malowała twarz. Wyglądało na to, że wykapała się u siebie, a następnie przeniosła wszystkie swoje kremy, toniki i kosmetyki na jego półkę.

- Co robisz? - zapytał.

- Przygotowuję się do wyjścia. - Naciągnęła powiekę, narysowała na niej brązową kreskę i lekko ją rozmazała.

Luke stanął przy drugiej umywalce.

- A dlaczego nie robisz tego w swojej łazience? I po co naznosiłaś tu tyle swoich rzeczy?

- Ponieważ się tu przeprowadzam. - Zwróciła ku niemu twarz. - Nie rozumiem, po co nam dwa apartamenty, skoro razem śpimy.

Sypiać razem to nie to samo, co razem mieszkać, pomyślał Luke.

- Jutro przyjeżdża twoja rodzina - przypomniał. - Nie wiem, czy to wypada mieszkać w jednym pokoju, kiedy oni tu będą.

Maggie zrobiła zdumioną minę.

- Rety, Luke! Oni nie urodzili się w średniowieczu.

- Tak czy inaczej, dla rodziców nadal pozostajesz dzieckiem.

- Ale pełnoletnim. Po drugie, chyba od razu lepiej niczego nie ukrywać, niż potem przemykać się z sypialni do sypialni. Poza tym moi rodzice będą mieszkać w pałacu.

Nałożył na twarz piankę do golenia i wykrzywił się do lustra.

- Więc jaki werdykt? - spytała.

- Zatrzymujemy oba apartamenty - rzekł, przeciągając golarką po brodzie. - Nie mogę sypiać z tobą, kiedy tu będzie twoja rodzina. Będziemy musieli zachowywać się przyzwoicie.

- Ależ, Luke, nie bądź taki staroświecki. Zamieszkajmy razem.

- Nie mogę tego zrobić. Z czystej przyzwoitości. - Nawet jeśli jej rodzina podejrzewa, że sypiają ze sobą, chciałby, żeby wiedzieli, że jego uczucia opierają się na czymś więcej niż seks.

- W ten sposób chcę okazać ci szacunek, Maggie. Proszę cię, pozwól mi.

- Och - wzruszył ją tymi słowami, aż oczy jej się zaszkliły.

- Więc pomożesz mi w tym?

Skinęła głową i gdyby nie to, że cały był w piance do golenia, pewnie by go z wdzięczności ucałowała.

- Obiecuję, że będę grzeczna - zapewniła. - Ale gdy wrócimy do Chicago, nie liczy, że dam ci spokój.

- To wiem.

Przez jakiś czas będą się nadal spotykać, pomyślał. Ale to nie będzie trwać wiecznie. Odwrócił się do lustra i dokończył golenia. Nie mógł się doczekać wieczoru w mieście. Maggie obiecała, że zabierze go na zwiedzanie Altarii i pokaże swoje ulubione zakątki.

Pojechali wynajętym vanem. Trasa wiodła wąskimi uliczkami, po obu stronach ciągnęły się brukowane chodniki i tchnące starą elegancją domy.

Na kolację zatrzymali się w małej, zacisznej kawiarni. Przy wyborze dań Luke zdał się na Maggie i dopiero kiedy przyniesiono przystawki, zrozumiał, w co się wpakował. Nie miał nic przeciw marynowanym oliwkom i cukini, ale na widok przyssawek nadziewanej kałamarnicy skrzywił się z obrzydzeniem. Maggie zaniósła się śmiechem. Zamówiła ją dla żartu. Wiedziała, że Luke woli kuchnię tradycyjną.

Siedzieli na dworze, na ogrzewanym patio, i sącząc chianti, prowadzili ożywioną rozmowę. Luke przyglądał się Maggie z upodobaniem. Długie, proste włosy opadały jej na ramiona. Miała na sobie dopasowane džinsy, džinsową bluzę, a do tego zgrabną kurteczkę z kozłej skóry. Wyglądała bardzo kobieco. Piękna, pomyślał. *Bella*, tak ją nazwał włoski kelner.

Po kolacji wybrali się na romantyczny spacer. Granatowe niebo Altarii skrzyło się mnóstwem gwiazd, a wśród nich najpiękniejsze - gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Trzymając się za ręce, omijali nierówności wyłożonego kamieniem chodnika. Po drodze wstąpili do lodziarni na sorbet z melonem.

- Podoba ci się Altaria? - zapytała Maggie.

- Bardzo - odparł. Zwłaszcza ten spokojny wieczór, który mógł spędzić w jej towarzystwie.

- Pójdźmy tam - wskazała drugą stronę ulicy. - Zawsze chciałam zajrzeć do środka.

Odwrócił się, spodziewając się zobaczyć stary, kamienny kościół albo jakąś inną zabytkową budowlę. Zamiast tego ujrzał mały sklepik z dziwnymi znakami na drzwiach. Sklep z magicznymi przedmiotami.

Z rozciągniętych tu i tam łańcuszków zwiisały mające uzdrawiająca moc kryształy. Płonące świece napełniały wnętrze zapachem jaśminu. Przy szklanej gablocie stała starsza kobieta o długich, siwych włosach i przenikliwym spojrzeniu.

Właścicielka, pomyślał Luke. Miejscowa Cyganka, która wróży z fusów i kart tarota. Napotkawszy jej spojrzenie, poczuł ucisk w gardle. Wyczuwał jej niezwykłą moc, jakąś naturalną, wewnętrzną energię. Chciał odwrócić oczy, ale w tym samym momencie zdjęła z półki maleńką figurkę i podała mu ze słowami:

- Terpsychora, muza tańca.

Krucha szklana figurka przedstawiała boginię ze złotą lirą i wieniec z liści na głowie.

- Terpsychora wie, co nosisz w sercu - dodała Cyganka.

A qva da nv do. Moje serce.

Swoje serce stracił podczas tańca z Maggie, a teraz Cyganka

chce, żeby przyznał, że nigdy go nie odzyskał, bo jego muza, Maggie, zatrzymała je na zawsze. Nie chce tego, pomyślał. Nie chce, żeby ktoś zaglądał w moje myśli.

Wyciągnął rękę, żeby oddać figurkę właścicielce, ale nie chciała jej przyjąć.

- Zatrzymaj ją - rzekła, odwracając się w drugą stronę.

W pierwszym odruchu chciał zostawić figurkę na ladzie, ale zmienił zdanie. Nie znał zwyczajów tej kobiety, ale uczono go, że nie należy odmawiać przyjęcia prezentu. Zaraz potem wyszedł przed sklep i, oparłszy się o ścianę, nabrał głęboko powietrza w płuca.

- Coś się stało? - Maggie pośpiesznie wyszła za nim.

- Nie, nic - udawał, chociaż mała figurka błyszczała mu w dłoni.

Tego samego wieczora Maggie przysiadła się do niego na kanapie. Nazajutrz miała się zjechać jej rodzina, co znaczyło, że nie będą się tak często widywać. Na samą myśl o tym już zaczynała tęsknić. Ale jego zachowanie niepokoiło ją jeszcze bardziej. Obawiała się, że znowu zechce zamknąć się w sobie. Po wizycie w magicznym sklepiku był dziwnie poruszony, ale unikał o tym rozmowy.

- Co zrobiłeś z figurką? - spytała, moszcząc się bliżej niego.

- Postawiłem ją na toalecie - skinął głową w stronę sypialni.

- Ciekawe, dlaczego ta Cyganka ci ją podarowała.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Maggie przyglądała mu się z boku. W bijącym od kominka

złotawym świetle jego twarz wydawała się jeszcze bardziej wyrazista.

- A zanim ją dostałeś, wiedziałeś, kim była Terpsychora?

- Coś mi się obilo o uszy. Wiedziałem, że było dziewięć muz, że to bóstwa z greckiej mitologii, ale imion nie pamiętałem.

- Pegaz też jest z greckiej mitologii - zauważyła, myśląc o skrzydlatym koniku Gwen. - Był źrebięciem, kiedy bogini Atena powierzyła muzy jego opiece.

- Wiem. - Luke odwrócił głowę, żeby na nią popatrzeć.

- Pegaz tak się tym przejął, że kiedy stuknął kopytkami w zbocze góry Helikon, wytrysnęły z niej dwa źródła przynoszące natchnienie.

Maggie potwierdziła skinieniem głowy.

- Czytałeś Gwen o Pegazie?

- Nie ja, mama. Ja się tylko przysłuchiwałem. Zawsze lubiłem tę historię.

- Tyle niezwykłych rzeczy się wydarzyło - zauważyła Maggie. - Namalowałam dziewczynkę, w której ty rozpoznałeś Gwen. Teraz Cyganka obdarowała cię figurką Terpsychory. To wszystko musi mieć jakieś ukryte znaczenie.

- Staram się nad tym zbytnio nie zastanawiać.

- Nie bądź smutny, Luke. Myślę, że Gwen czuwa nad tobą. Jest twoim dobrym aniołem.

- Dziękuję ci - wyszeptał z przejęciem, patrząc na nią ciemnymi, pałającymi oczami. - Miło, że to powiedziałaś.

Wyciągnęła ku niemu ręce i przytulili się do siebie. Czuła się szczęśliwa, mając jego serce tak blisko. Tak bardzo chciałyby wyznać mu miłość, ale czy to aby odpowiednia chwila? Ale jeśli nie teraz, to kiedy? Gdy przyjedzie jej rodzina, nie będzie ku temu okazji. Nie będą mieli dla siebie tyle czasu, co teraz, nie

będzie kolacji przy świecach ani romantycznych przechadzek po plaży. Luke będzie najpewniej spędzał całe dnie z Rafe'em, pracując nad planem ujęcia Paulusa. Ona natomiast będzie dostrzymywała towarzystwa siostrom.

Nie znajdzie lepszego momentu na wyznanie miłości, myślała z coraz mocniej bijącym sercem.

- Jest coś, co muszę ci wyznać - powiedziała cicho.

- Co takiego? - spytał, uwalniając ją z uścisku.

- Kocham cię - odrzekła, spoglądając mu prosto twarz. - Nie tylko jako przyjaciela. Kocham cię tak, jak żona kocha męża.

Luke znieruchomiał i przez chwilę nie odezwał się ani słowem.

- Tak ci się tylko wydaje - powiedział w końcu bezbarwnym głosem. - To tylko młodzieńcze zauroczenie.

Nie takiej reakcji się spodziewała.

- Nie traktuj mnie jak naiwnego podlotka. Jestem dorosła. Kocham cię bez względu na to, czy mi wierzysz, czy nie.

Pokręcił głową.

- Nie wierzę, żeby to była prawda.

Maggie miała ochotę się rozpłakać.

- W takim razie dlaczego miałabym zakładać się z tobą o małżeństwo? Po co miałabym składać taką deklarację?

- Bo jesteś przekonana o swojej miłości, ale tak wcale nie musi być.

- A niech cię, Luke! - Straciła panowanie nad sobą i zaczęła okładać go pięściami. - Jesteś skończonym durniem, wiesz?

Uprowadzając kolejne uderzenia, Luke chwycił ją za nadgarstki i przygwoździł do kanapy.

- Już nie wiem, co mam z tobą począć, Maggie. Doprowadzasz mnie do szaleństwa!

Mógłbyś mnie też pokochać, chciała powiedzieć. Mógłbyś wreszcie otworzyć przede mną to swoje uparte serce. Przez krótką chwilę miała nadzieję, że ją pocałuje i przytuli.

Nie zrobił tego. Odwracając głowę, pozwolił jej odejść.

- Idź do swojego pokoju, Maggie. Prześpij się i zapomnij o tym.

- Prosisz mnie, żebym zapomniała o tym, co czuję? Żebym wmawiała sobie, że cię nie kocham?

- Tak, o to cię proszę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rodzeństwo Connellych stanowiło ciekawą mieszankę genów. Trzech spośród ośmiu synów Granta pochodziło z pozamażeńskich związków. Trzydziestosześcioletni bracia bliźniacy Chance i Douglas, o których istnieniu Grant dowiedział się dopiero w tym roku, byli owocami jego miłości do pewnej kobiety, jeszcze zanim poślubił Emmę. Trzydziestodwuletni Seth przyszedł na świat w wyniku jego romansu z sekretarką, w czasie kiedy małżeństwo Granta i Emmy przechodziło kryzys.

Grant i Emma, obecnie żyjący w zgodnym związku, nie zatrzymali się w domu na plaży, ale za to ich licznie zgromadzone potomstwo robiło tyle szumu i zamieszania, że Luke'owi było trudno się w tym wszystkim odnaleźć.

Siedział teraz przy stole z wiśniowego drewna, bezskutecznie usiłując umknąć przed spojrzeniami sześciolatniej Amandy, lub Mandy, jak na nią często wołano. Dziewczynka wpatrywała się w niego, a on nie wiedział dlaczego. Nie znał się na dzieciach. O dorosłych mógł wiele powiedzieć już przy pierwszym spotkaniu, ale dzieci wymykały się jego osądowi. Jedyne, co zauważył, to fakt, że Mandy była oczkiem w głowie tatusia i przepadała za Kristiną, żoną dwudziestosiedmioletniego Drew.

- Gdzie ciocia Maggie? - zapytała.
- W swoim pokoju - odparł Luke. - Nie czuje się za dobrze. Albo raczej go unika, dopowiedział w myślach.
- A co jej jest?
- Głowa ją boli.
- Wzięła aspirynę?
- Chyba tak.

Służąca podała sałatki i Luke odetchnął z ulgą. Mandy zajmie się teraz jedzeniem. Doprawił sałatkę i podał sos Sethowi, który podziękował mu skinieniem głowy.

Seth był czarną owcą w rodzinie. Trafił pod dach Granta i Emmy, kiedy miał dwanaście lat. Jego matka, Angie Donahue, a zarazem sekretarka, z którą Grant miał romans, zostawiła go pod drzwiami rezydencji i zniknęła na długie lata. Będąc zbuntowanym nastolatkiem, sprawiał im mnóstwo kłopotów, aż wreszcie oddali go do szkoły wojskowej. Tam nauczył się dyscypliny i uspokoił. Po latach odnalazł się wreszcie na łonie rodziny, chociaż ciężko mu było pogodzić się z faktem, że jego matka, po latach nieobecności w jego życiu, wróciła tylko po to, żeby go wykorzystać i pomóc Kellym w ich niecznych planach.

Obok niego przy stole siedziała teraz jego żona Lynn. Widać było, że niedawno poślubieni wciąż nie mogą się sobą nacieszyć.

Luke zaklął w duchu. Przy stole zasiadło stanowczo zbyt wiele małżeństw. Szczęśliwi, zakochani...

- Dlaczego się zezłościłeś?

Spojrzał na swoją małą sąsiadkę. Mandy, zadarłszy głowę, wpatrywała się w niego ciekawskimi, zielonymi oczyma.

- Nie złość się. Jem.

- Zrobiłeś taką minę, o zobacz. - Dziewczynka zmarszczył brwi i ściągnęła w dół kąciki ust.

Zastanowiło go to. Czyżby cały czas chodził z tak ponurą miną?

- Pewnie miałem jakiś powód.

- A jaki?

- Nie twoja sprawa.

- Mówisz tak, jak wszyscy dorośli. - Poprawiła serwetkę n kolanach. - Ale ja i tak wiem, o co chodzi. Założę się, że się pokłóciłeś z ciocią Maggie. I to przez ciebie rozboleła ją głowa.

- No, no, niezła spryciara z ciebie - powiedział Luke z uznaniem.

- Widziałam, jak z nią tańczyłeś - dodała Mandy.

Serce mu się ścisnęło. Terpsychora - bóstwo tańca.

- Naprawdę?

Pokiwała głową.

- Na weselu wujka Rafę'a. Zauważyłam, że cię lubi, i nawet chciałam pomóc, żebyście byli razem, ale mój tata i Kristina powiedzieli, żebym już nikogo nie swatała. A wiesz, że pobrali się przeze mnie?

Luke mógł się tylko uśmiechnąć. Amanda Connelly przypominała aniołka, uroczą dziewczynkę z niewidzialnymi skrzydełkami. Przypomniał sobie to, co Maggie mówiła o Gwen. Może faktycznie jest takim opiekuńczym aniołem. Kiedy patrzył na uśmiechniętą buzię Mandy, chciał w to wierzyć.

Po kolacji Luke zaszedł do kuchni i poprosił o przygotowanie czegoś do zjedzenia dla Maggie. Z tacą w ręce zapukał do jej drzwi.

Otworzyła, zaskoczona jego widokiem. Miała na sobie długą satynową podomkę. Pospiesznie związane na czubku głowy

włosy miejscami wymykały się spod kontroli i opadały długimi, wilgotnymi wąsami. Pachniała jak zapowiedź słońca w wietrzny, zimowy dzień.

- Pomyślałem, że zechcesz coś przekąsić.
- Miałam później coś zamówić.
- Ach, tak? W takim razie odniosę to do kuchni - powiedział

z konsternacją.

- Nie, w porządku. Wejdz.

Wszedł i postawił tacę na stoliku.

- Jak twoja głowa?
- Lepiej, dziękuję.

Nie wiedząc, co zrobić z rękami, wcisnął je do kieszeni. Pod cienką podomką odznaczały się perły jej sutek. Musiała przed chwilą wyjść z wanny. Pachniała kwiatami.

- Mam ci w czymś pomóc, Luke?
- Nie, wstąpiłem tylko, żeby ci przynieść kolację.

I powiedzieć, że pomogła mu uporać się z bolesnym wspomnieniem. Nigdy nie zapomni, co spotkało jego siostrę, ale dzięki Maggie widzi w niej bardziej anioła niż ofiarę brutalnego gwałtu. Nie potrafił jednak dobrać słów, żeby o tym porozmawiać. Bał się, że przejdą do rozmowy na inne pokrewne tematy: o miłości, małżeństwie i dzieciach.

Maggie stała przed lustrem, przyglądając się uważnie swojej kreacji. Dziś miała się odbyć próba przed koronacją i musiała wyglądać stosownie do okazji. Była przecież córką byłej księżniczki i siostrą przyjmującego koronę króla. Elegancką morelową suknię z najcieńszego jedwabiu zdobił sznur pereł. Zastanawiała się nad fryzurą. Zostawić włosy rozpuszczone czy upiąć je z tyłu głowy? Zdecydowała się je luźno spiąć wysadzaną

kamieniami spinką. Jeszcze tylko para wygodnych pantofli na niskim obcasie i mogła odetchnąć świeżym powietrzem na balkonie.

I wtedy zobaczyła Luke'a bawiącego się z psem. Wracali do domu po porannym bieganiu. Miedzianoskóry, czarnowłosa, potężny wojownik i posłuszny mastiff z ogromnym, czarnym pyskiem.

Nagle Luke zatrzymał się i spojrzał do góry. Wyczuł, że tam była? Wiedział, że mu się przygląda? Wszystko wydawało się takie niepewne. Ona wyznała mu miłość, a on obiecał dotrzymać warunków umowy, ale jednocześnie coraz trudniej im było ze sobą rozmawiać.

Mimo to zeszła do niego na dół. Pewnie będzie chciał jej udzielić jakichś wskazówek przed próbą ceremonii.

Na dole roznosił się zapach parzonej kawy i smażonego boczku. Znak, że niedługo podadzą śniadanie. W salonie zauważyła swoich dwóch braci. Odziani w ciemne garnitury, czytali gazetę. Obie rodziny - Rosemere i Connelly - spotkają się dzisiaj rano na próbie, a po południu jeszcze raz, ale tym razem w La Cattedrale Grande, altariańskiej Wielkiej Katedrze.

- Cześć - powitał ją Luke. - Wyglądasz olśniewająco.

- Dziękuję.

On też wyglądał pięknie. Kropelki potu zraszały mu czoło na rozwichrzonych kruczoczarnych włosach połyskiwały ciemnoniebieskie refleksy.

- Chciałbym, żebyś się zgodziła wziąć ze sobą Bruna - powiedział Luke, przenosząc ciężar na drugą nogę.

Maggie spojrzała na psa. Ochroniarz czy nie, nie wypadało wprowadzać psa do katedry.

- Nic mi się nie stanie. Będzie tam cała moja rodzina.

- Pamiętaj, nigdzie się sama nie oddalaj - przypominał - nawet na sekundę. I to nie tylko w katedrze. W pałacu też.

- Dobrze już, dobrze. Przestań się o mnie martwić. Król Daniel i królowa mieszkają w pałacu od roku. Są tam moi rodzice, że nie wspomnę o księżniczce Catherine i szejku Kajju. Poza tym jest tam jeszcze moja siostra Alexandra z księciem Phillipem, jej mężem. Nie sądzę, żeby Paulus zechciał ryzykować w takiej sytuacji.

- Ja też nie, ale lepiej być ostrożnym.

- Lepiej trzymaj za mnie kciuki, żebym dobrze wypadła. Wiesz, że zdarza mi się zapominać o dobrych manierach.

- Powodzenia - uśmiechnął się ciepło.

Ach, ten jego zniewalający uśmiech.

- A może wybierzesz się dziś ze mną na przechadzkę o północy? Będziemy liczyć gwiazdy...

- Brzmi zachęcająco. Stęskniłem się już za tobą, kruszynko.

- Ja za tobą też.

Przeciagnął dłonią po włosach.

- Lepiej już pójde wziąć prysznic. Nie chcę się spóźnić na śniadanie.

Patrząc, jak odchodził, żałowała, że nie może zostać z nim w domu. I kochać się do utraty tchu.

Tak jak przewidywała, próba koronacji była długa i męcząca, ale też niezwykle przejmująca. Nie mogła się doczekać tej właściwej chwili, kiedy jej brat będzie składał przysięgę na wierność Altarii. W wyobraźni już go widziała - klęczał przed ołtarzem, silny i przystojny, w wojskowym stroju.

Po próbie Jego Wysokość zaprosił wszystkich krewnych na bankiet w pałacu. Maggie usiadła obok swojej siostry Tary. Jej

męża, Michaela Paige'a, uznano już za zmarłego, kiedy nieoczekiwanie powrócił po długiej nieobecności. Rodziny Rosemere i Connelly przeżywały różne tragedie, ale najczęściej wychodziły z nich zwycięsko. Myśl, że była częścią każdego z tych szlachetnych rodów, napawała Maggie dumą.

Przy stole panowała ciepła, rodzinna atmosfera. Maggie kończyła właśnie chłodnik z dyni, kiedy niespodziewana niedyspozycja zmaćiła jej dobry nastrój. Zaczepnęła głęboko powietrza i napiła się wody. Czyżby zaszkodziła jej ta pikantna zupa? A może nadziewane liście winogron lub przystawki z krewetkami? Wydało jej się to mało prawdopodobne. Przywykła bowiem do wyszukanych potraw. W takim razie dlaczego tak źle się poczuła? Złapała grype? Oby nie teraz i nie tutaj! - pomyślała z przerażeniem. Za nic na świecie nie chciałyby zakłócić atmosfery tego rodzinnego święta.

Ale zawroty głowy nasilały się, wszystko jej się zlewało przed oczami.

- Nie czuję się dobrze - zwróciła się do siostry.

Tara wzięła ją za rękę.

- Pomóc ci przejść do garderoby?

- Tak, proszę.

Opadając ciężko na wyłożoną aksamitem sofę, Maggie przeklinała w duchu swoje nieposłuszne ciało. Rzadko kiedy chorowała. Wprawdzie wczoraj bolała ją głowa, ale przypisywała to stresowi.

- Musiałam złapać jakąś infekcję - powiedziała do Tary.

- Ojej - zatroskała się Tara i posłała garderobianą po mokry ręcznik.

Przykładając ręcznik do twarzy, Maggie wyrzucała sobie, że zatrzymuje przy sobie Tarę, podczas gdy inni tak dobrze się

bawią. Nieczęsto się zdarza, żeby cała rodzina miała okazję się spotkać.

- Wracaj do stołu i dokończ jedzenie - rzekła.
- Nie zostawię cię tu samej - odparła Tara.
- Proszę cię, nic mi nie będzie. Muszę tylko troszeczkę odpocząć.

Garderobiana zwróciła się do Tary:

- Proszę pani, przepraszam, że się wtrącam. Jeśli panna Connelly chciałaby pojechać do domu, mogę wezwać szofera.

- Co ty na to, Maggie? - zapytała Tara. - Chcesz pojechać do Dunemere?

- Sama nie wiem. Pozwól mi tu chwilę posiedzieć.

Po krótkich pertraktacjach Tara zgodziła się wreszcie wrócić do stołu. Gdyby Maggie czegoś potrzebowała, została z nią garderobiana.

- Wkrótce znowu tu zajrzę - uprzedziła przed odejściem.

- I przyprowadzę z sobą mamę i Alexandrę.

Świetnie! - pomyślała Maggie. Jeśli zwymiotuję, to przynajmniej w towarzystwie. Po wyjściu Tary przymknęła powieki, mając nadzieję, że wkrótce przestanie ją mdlić.

- Nudności ustąpią - usłyszała głos garderobianej, jakby czytała w jej myślach. - Ale będziesz odczuwać lekkie zawroty głowy, kłopoty z ostrością widzenia i senność. W końcu zaśniesz.

Zaskoczona Maggie otworzyła oczy. Na krześle obok niej, z rękami złożonymi na kolanach, siedziała ciemnowłosa kobieta. Znowu zrobiło jej się niedobrze. Łapiąc nerwowo powietrze, napotkała jej wzrok i od razu wszystko stało się jasne. Ta brunetka pracowała dla Paulusa.

- Dodaliście mi coś do jedzenia...

- Owszem. Kiedy twoja siostra znowu tu przyjdzie, powiesz jej, że chcesz wracać do domu i że posłałaś mnie po strażnika. Tym sposobem nikt z rodziny nie będzie się niepokoić. Wszyscy będą przekonani, że strażnik zadba o twoje bezpieczeństwo i wyda dyspozycje kierowcy, żeby cię zawieźć do Dunemere.

- Ale to nie tam pojedę, prawda? - Paulus nie wysyłałby jej do Luke'a. - Gdzie jest Lucas Starwind? Coście z nim zrobili?

- Jeszcze nic - odpowiedziała chłodno kobieta. - I dopóki będziesz grzeczna, nic mu nie grozi.

Maggie, zdezorientowana i oszołomiona narkotykiem, próbowała skupić myśli. Dlaczego ją porywają? Dla okupu? A może ma służyć Paulusowi jako karta przetargowa w jakiejś grze? Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? - myślała z rezygnacją, ściskając wilgotny ręcznik w ręce. W końcu rodzina zauważy jej zniknięcie i król zrobi wszystko, żeby ją odszukać. Gdyby im teraz dała znać, Luke mógłby zginąć.

- Zrobię, co chcecie - powiedziała bezbarwnym głosem.

Kiedy jej matka i siostry zajrzały do niej, przekonała je, że najlepiej będzie, jeśli wróci do Dunemere, gdzie czeka na nią wygodne łóżko. Pięć minut później dała się odprowadzić fałszywemu strażnikowi do czekającego na nią samochodu. Nie wiedziała, dokąd ją zawiozą. Modliła się w tylko duchu, żeby Luke'owi nic s

Anonimowy rozmówca umówił się z Lukiem na molo. Twierdził, że ma istotne informacje dotyczące sprawy Connellych. Luke miał czekać na niego zwrócony w stronę morza. Instynkt

podpowiadał Luke'owi, że coś tu nie gra, zabrał więc ze sobą Bruna.

Z napiętymi nerwami stał przy barierce, wpatrując się w ciemną, falującą otchłań morza. Broń kaliber dziewięć, przypięta do pasa, była w każdej sekundzie gotowa do strzału. Takiej nocy jak ta nie zawahałby się jej użyć. Jeśli ktoś ma zginąć, to na pewno nie on.

Najpierw dały się słyszeć niepewne kroki, a zaraz potem ostrzegawcze warknięcie Bruna. Kroki zatrzymały się i męski głos zawołał z ciemności:

- Odpraw psa.

Nie w twoim życiu, pomyślał Luke i każąc Bninowi czekać na dalsze polecenia, odwrócił się w stronę przeciwnika. Zobaczył wysokiego, szczupłego mężczyznę w długim płaszczu z kapturem. Wiedział, że to Gregor Paulus.

Podszedł bliżej. Stanęli naprzeciw siebie. W mlecznym świetle latarni Paulus wyglądał jak zjawa.

- Podobno masz dla mnie ważne informacje - zaczął Luke.

- Mam - odparł Paulus z nagłym grymasem na twarzy. Zapewne obecność psa zaczęła wywoływać pierwsze objawy alergii. - Porwaliśmy Maggie Connelly. I nie wypuścimy jej do czasu, aż znajdziesz dowody na to, że Rowan Neville pracuje dla Kellych.

Luke poczuł się tak, jakby przejechała po nim ciężarówka, niemniej lata doświadczeń w tajnych operacjach wojskowych, a potem praktyka prywatnego detektywa pomogły mu zachować zimną krew.

- Gdzie znajdę te dowody?

- Dowiesz się w ciągu dwóch dni. W tym czasie oczyścisz mnie z zarzutów i skierujesz podejrzenia na Neville'a.

- A co z Maggie?

- Powiemy ci, gdzie jest, ale dopiero wtedy, gdy ponownie wezwiesz Neville'a na przesłuchanie, wymusisz na nim przyznanie się do winy, w tym do porwania Maggie Connelly. - Paulus znowu się skrzywił i pociągnął nosem. - Musi wyglądać na to, że Rowan Neville załamał się po tym, jak nie dałeś wiary jego kłamstwom i temu, że ktoś groził jego dzieciom.

Luke najchętniej skoczyłby Gregorowi do gardła. Zamiast tego spokojnie zapytał:

- Jak ci się udało uprowadzić Maggie bez wzbudzenia podejrzeń?

Paulus ze szczegółami opisał mu przebieg całej operacji. W jego zakatarzonym z powodu alergii głosie brzmiała duma i zadowolenie z siebie.

- Oczywiście - ciągnął dalej - kiedy już wszyscy wrócą do Dunemere i zapytają o Maggie, będziesz musiał im powiedzieć, że jej nie widziałeś. To wywoła panikę i tu, panie Starwind, odegra pan swoją rolę. Heroicznego kochanka, który gotów jest pójść na koniec świata, żeby odnaleźć swoją kobietę. I wsadzić jej prześladowców za kratki.

- Czy Rocky'ego Palermo też mam oczyścić z podejrzeń?
- spytał Luke, wiedząc, że to właśnie on przetrzymuje gdzieś teraz Maggie.

- Tak. Wszyscy wiedzą, że pracował dla Kellych, ale tym razem jest czysty. Zabójcą jest Edwin Tefeller, ten sam, którego Rafe Connelly schwytał w Chicago miesiąc temu. - Przerwał, żeby wytrzeć nos chusteczką. - Kiedy będzie po wszystkim, złożę rezygnację i obaj, Palermo i ja, ulotnimy się jak kamfora. Na zawsze.

- Jeśli Maggie coś się stanie, jeśli przez tego drania spadnie

jej chociaż jeden włos z głowy, znajdę was obu. A wtedy będziecie błagać o szybką śmierć.

- Po co te nerwy? - Paulus zrobił krok do tyłu, bo Bruno znowu groźnie zawarczał. - Dopóki ty i ten twój pies zechcecie z nami współpracować, nic jej nie grozi. Ale jeden fałszywy ruch z twojej strony, a twoja piękna pani zginie.

Lodowaty chłód przebiegł Luke'owi po plecach. Miał świadomość, że Paulus nie żartuje. Rocky Palermo czekał na jego sygnał.

- Będę współpracował - rzekł.

- I bardzo dobrze. Przyjemnie się robi z panem interesy, sir. Ale muszę wracać do pałacu. Chciałbym tam być, kiedy król się dowie, że jego siostrzyczka zniknęła. Na pewno on, jak i cała reszta, będą zrozpaczeni.

Paulus odwrócił się i odszedł. Luke musiał pozwolić mu odejść. Od tego zależało życie Maggie.

W budynku panował półmrok. Ogromne maszyny w bladym świetle rozrzuconych tu i ówdzie lamp wyglądały jak monstra z pokracznymi głowami i wyszczerzonymi zębami.

Maggie, związana i zakneblowana, siedziała na zimnej, betonowej podłodze. W jej głowie panował chaos i lęk. Narkotyki mącił jej wzrok i myśli. Walczyła z sennością, starając się zorientować, gdzie jest.

Jak długo będą ją tu trzymać? Kiedy Paulus wystąpi z żądaniem?

Spróbowała przełknąć ślinę, ale knebel ograniczał wszelki ruch. Bolały ją usta i paliło w gardle. Chciało jej się płakać. Może Luke'a trzymają gdzieś niedaleko? Ale jak im się udało przechytryć Bruna? Zabili go?

Usłyszała kroki i skurczyła się ze strachu. Widząc zbliżającą się ku niej niewyraźną sylwetkę, zamknęła oczy, udając, że śpi. Miała zamęt w głowie, ale wiedziała, kim jest ten mężczyzna. Modliła się, żeby zostawił ją w spokoju.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jedno Luke wiedział na pewno: musi odszukać Maggie, jeszcze dziś. Nie może zostawić jej samej, opuszczonej i przerażonej. Nie może zawieść Connellych i pokładanego w nim zaufania. Nie pozwoli, żeby Paulus i jego wspólnicy uniknęły kary.

Na szczęście Paulus, w swej próżności, odstąpił mu kilka faktów. Oprócz Rocky'ego Palermo współpracowały z nim jeszcze cztery osoby: garderobiana, pomoc kuchenna, która dała Maggie narkotyk do jedzenia, podstawiony strażnik z pałacu i kierowca limuzyny. Bardzo prawdopodobne, że ci ostatni dwaj to hakerzy, o których opowiadał Rowan Neville. Luke nie spodziewał się udziału kobiet. Nic o nich nie wiedział.

- Zawiodłem Maggie - powiedział do psa i stary koszmar wrócił ze zdwojoną siłą. Gwen też nie była przy nim bezpieczna. Czym prędzej odpędził złe myśli. Nie mógł sobie pozwolić, żeby w takiej chwili rozpraszało go poczucie winy. Gwen nie żyje, ale on nie może stracić Maggie. Z pomocą Bruna uratuje ją i sprowadzi z powrotem do domu. Do domu i do swojego życia.

Gdzie on ją mógł schować? Żeby się tego dowiedzieć, musi spróbować pomyśleć jak on, na chwilę stać się Paulusem.

Z twarzą chłostaną wiatrem, z szumem wzburzonych morskich fal w uszach, zamknął oczy i próbował się odprężyć. Paulus uprowadził Maggie ze strzeżonego pałacu, czym zagrał wszystkim na nosie. To go kręci. Musi ją trzymać w dobrze sobie znanym miejscu, które daje mu poczucie przewagi.

Przedzalnia! - Luke otworzył szeroko oczy. Paulus i jej zmarły właściciel, Cyrus Koresh, byli dobrymi kumplami. Prawdopodobnie Paulus ma jeszcze klucz. To miało sens, zwłaszcza że do czasu przyjazdu spadkobiercy, brata Koresha, fabryka pozostawała nieczynna. W środku stało tyle najrozmaitszych urzędzeń, że nietrudno było tam kogoś ukryć.

Luke zakradł się do fabryki i sforsował przejście. Z bronią gotową do strzału nasłuchiwał jakichś odgłosów, ale w środku panowała zupełna cisza. Puścił Bruna przodem i chyłkiem przeżył się przez halę. Słabe, rozproszone światło i ogromne, uśpione maszyny sprawiały wrażenie, że za chwilę stanie się coś złego.

Nagle Bruno się zatrzymał. Czując przypływ adrenaliny, Luke schował się gdzieś być. Ale Rocky także. W następnej sekundzie zobaczył szeroką, zwalistą sylwetkę z bronią w ręce.

Rocky Palermo niespokojnie przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę. Widocznie nie mógł się już doczekać zmiennika.

Niedoczekanie twoje, pomyślał Luke i podał psu komendę. Bruno rzucił się do przodu i zanim Rocky zdążył się zorientować, co się dzieje, broń wypadła mu z ręki, a on leżał na podłodze z ogromną czarną paszczą przy szyi.

Luke ukląkł przy nim.

- Jeden twój ruch, a mój przyjaciel rozerwie ci gardło -

ostrzegł go złośliwym szeptem. - Na twoim miejscu nawet bym nie mrugał.

Następnie podniósł broń i pospieszył do Maggie. To, co zobaczył, uwolniło w nim całą rzekę uczuć. Związana i zakneblowana, siedziała na podłodze w swojej zwiewnej, jedwabnej sukience i perłach na szyi, a łzy ciurkiem płynęły jej po twarzy.

Boże, co oni jej zrobili!

Kiedy wyciągnął jej knebel z ust, Maggie łapczywie nabrała powietrza.

- Myślałam, że ciebie też pojмали. Tak się bałam. Ta kobieta powiedziała, że cię zabiją. Luke, to naprawdę ty? Powiedz, że to mi się nie śni.

- To ja, kruszyno. Wszystko będzie dobrze. - Szybko rozwiązywał jej więzy. Musieli się spieszyć. - Możliwe, że jeden z nich już tu idzie. Muszę zadzwonić do pałacu i dać znać królowi.

Zadzwoił z telefonu komórkowego, a następnie zakneblował i związał Palerma. Żałował, że nie miał okazji zobaczyć, jak Bruno rozrywa go na kawałki. Wpakował bandytę na tylne siedzenie samochodu i posadził przy nim psa. Wielkie zęby Bruna były tuż przy jego twarzy.

Potem wrócił po Maggie. Wziął ją na rękę, a ona położyła mu głowę na ramieniu. Była blada, słaba i zmęczona.

- Dali mi narkotyki - powiedziała.

- Wiem.

Wyniósł ją z budynku, posadził na miejscu obok kierowcy i zawiózł prosto do szpitala. Z polecenia króla mieli tam czekać uzbrojeni strażnicy.

Luke czuwał przy szpitalnym łóżku Maggie. Królewska Gwardia trzymała straż przy wejściu, legitymując każdego odwiedzającego. Przez cały wieczór zaglądali tu zatroskani krewni. Fizycznie Maggie była w niezłym stanie. Luke bardziej obawiał się o jej stan psychiczny.

Pielegniarka zaproponowała, że przyniesie mu koc, ale on nie chciał spać. Śledził każdy oddech Maggie, wsłuchiwał się w jej ciche westchnienia podczas nawiedzających ją niespokojnych snów.

Usłyszawszy skrzypięcie drzwi, Luke sięgnął po broń. Kto chciałby tu przyjść o czwartej nad ranem? Uspokoił się, widząc znajomą twarz strażnika.

- Przyszedł Rafe Connelly. Chce z panem mówić.
- Niech wejdzie.

Rafe wyglądał na bardzo zmęczonego. Cienie pod oczami były jeszcze ciemniejsze niż wtedy, kiedy go widział ostatnio. Pewnie i ja tak wyglądam, pomyślał Luke. Adrenalina, strach i Bóg jeden wie ile kubków czarnej kawy nie stanowiły zdrowej kombinacji.

- Jak ona się trzyma? - zapytał Rafe.
- Wciąż śpi, ale to dobrze. Lekarz powiedział, że musi wypocząć.
- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że dobrnęliśmy do końca. - Rafe podszedł bliżej, starając się robić jak najmniej hałasu.
- Paulus i spółka są już w więzieniu. Królewska Gwardia zgarnęła pozostałych.

Luke odetchnął głęboko, jakby ciężar spadł mu z serca. Teraz Maggie nic już nie grozi.

- Kim były kobiety?
- Garderobiana to krewniaczka Kellych, a ta z kuchni była

tam naprawdę zatrudniona. Okazało się, że była kochanką Paulusa, ale skrzętnie to przed wszystkimi ukrywali.

- A ten niby-strażnik i kierowca to hakerzy, którzy skopowali pliki?

Rafe potwierdził, kiwając głową.

- Kierowca powiedział nam, gdzie ukryli CD-ROM-y. Myśli, że mu się upiecze, bo nikogo nie zabił - uśmiechnął się blade. - Jak na komputerowego czarodzieja nie jest zbyt bystry.

Rafe podszedł do Maggie i stanął obok łóżka.

- I pomyśleć, że moja siostra z własnej woli poszła z porywaczami - powiedział, zniżając głos do szeptu. - Ryzykowała własne życie, bo myślała, że twoje jest zagrożone.

- Wiem - odparł Luke ze ściśniętym gardłem.

- Ona cię kocha, Starwind.

- To też wiem.

On też ją kochał i chociaż bronił się przed prawdą, nie mógł już dłużej udawać. Kochał ją od chwili pamiętnego tańca na weselu Rafe'a. Teraz, kiedy dochodzenie dobiegło końca, Maggie nie potrzebowała już jego ochrony. Potrzebowała natomiast czegoś dużo głębszego.

Po wyjściu Rafe'a Luke jeszcze dwie godziny czuwał przy łóżku Maggie. O świcie poruszyła się.

- Luke? - cicho wymówiła jego imię, a on natychmiast był przy niej.

- Jestem tutaj, maleńka. - Delikatnie odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. Wciąż była senna, ale skóra się jej nieco zaróżowiła.

- Dlaczego jestem jeszcze w szpitalu? - spytała, patrząc na niego niebieskozielonymi oczami.

- Lekarz zatrzymał cię na obserwację, ale na pewno pozwoli ci dzisiaj wyjść do domu. - Opowiedział jej krótko o aresztowaniu Paulusa i innych. - Skończyło się. Już nikt ci nigdy nie wyrządzi krzywdy.

- Uratowałeś mnie - powiedziała z wdzięcznością.

- Bruno mi pomógł. Bez niego bym sobie nie poradził.

- Mogę go zatrzymać? Może jego treser zgodziłby się go odsprzedać. - Poprawiła się na łóżku. - Nie zniosłabym, gdybym musiała go oddać.

- Zadzwoń do niego dzisiaj, nie martw się.

Światło poranka wlewało się do pokoju coraz szerszym strumieniem. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Boże Narodzenie już za parę dni - odezwała się Maggie.

- Tak, czas pędzi, że trudno nadażyć.

- Ostatnio byliśmy dość zajęci - odparła z uśmiechem, w zamyśleniu bawiąc się włosami. - Myślisz, że moglibyśmy wrócić do Chicago na święta? Dobrze byłoby zobaczyć twoją mamę i zapytać, jak sobie radzi. Poza tym czuję, że muszę się stąd wyrwać. Chociaż na krótko.

- To da się zrobić - powiedział Luke. Miło byłoby spędzić te święta razem, posiedzieć przy choince, pomyślał. - U nas pewnie pada śnieg.

- To dobrze - odpowiedziała radośnie.

W dzień Bożego Narodzenia w całym domu Luke'a roznosił się zapach pieczonego indyka, kukurydzianego nadzienia, sosu z żurawin, tłuczonych ziemniaków i ciasta z dynią. Wszystkie te tradycyjne przysmaki przyrządziły Dana i Neli, ale teraz święto dobiegało końca i obie kobiety szykowały się do drogi.

Dana po raz pierwszy odwiedziła syna w jego domu. Zażywała środek antydepresyjny i chociaż był to dopiero początek leczenia, lekarstwo zdawało się pomagać. Wprawdzie jadąc z Neli zatłoczonymi ulicami, odczuwała paniczny lęk, ale kiedy dojechały na miejsce, bardzo cieszyła się, mogąc spędzić dzień w Chicago - mieście, którego nie widziała przez ostatnie dwadzieścia siedem lat.

- Dasz sobie radę w drodze powrotnej? - spytała Maggie, ściskając ją na pożegnanie.

- Nie lubię tego tłoku na ulicach, ale w razie czego mam środek na uspokojenie. Doktor mówił, żeby nie brać go zbyt często. Przepisał go na wszelki wypadek, żebym się pewniej czuła.

- Luke i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

- Dziękuję wam. Przyjemnie jest wyjść z domu. I - dodała konspiracyjnym szeptem - widzieć was dwoje razem.

Maggie uściśnęła jej rękę. Luke nie krył się z okazywaniem swoich uczuć, co Dana i Neli od razu zauważyły. Nie był tylko skory, żeby o nich mówić.

- Lepiej już jedźmy - ponagliła Neli. - Dobrze byłoby zajechać do domu przed zmrokiem.

Luke odprowadził Dane i Neli do samochodu przed domem, wymuszając na nich obietnicę, żeby zadzwoniły zaraz po przyjeździe do domu. W tym czasie Maggie stała w otwartych drzwiach.

Cienka warstwa śnieżnego puchu okrywała ziemię. Jak okiem sięgnąć wszędzie migotały świąteczne światełka. Dobrze jest być w domu, pomyślała Maggie. Niepokoiła się jedynie tym, jak się między Lukiem i nią ułoży.

Kiedy Dana i Neli odjechały, Luke wziął Maggie za rękę

i usiedli razem na kanapie. Drzewko Czirokezów, jak je nazwała Maggie, jarzyło się światełkami i mieniło bogactwem indiańskich ozdób. Sznury turkusowych koralików zwisały z każdej gałęzi.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent - rzekł Luke.

- Tak? - zdziwiła się. Prezenty wymienili już wcześniej.

Luke sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe pudełeczko.

- Noszę to ze sobą cały dzień.

Nacisnął brzeg i wieczko odskoczyło. W środku niczym gwiazda błyszczał pierścionek z brylantem. Maggie z wrażenia zakreśliło się w głowie.

- Och! - wykrzyknęła z zachwytem. Prezent był piękny, olśniewający i zupełnie niespodziewany.

- Proszę, żebyś zechciała zostać moją żoną. I matką moich dzieci. Mam tylko nadzieję, że będziemy je mieli, zanim się całkiem zestarzeję.

Spojrzał na pierścionek, a potem znów na nią.

- Kocham cię, Maggie, i wiem, że ty też mnie kochasz. Przepraszam, jeśli te oświadczenia nie zabrzmiały zbyt romantycznie, ale nie chcę, żeby między nami były jakieś niedomówienia. Zbliżam się do czterdziestki, a ty jeszcze nie tak dawno miałaś dwadzieścia lat...

- Luke - odparła Maggie, patrząc na niego z miłością - nie musimy się z niczym spieszyć ani zamartwiać różnicą wieku między nami. Będziemy przeżywać każdy dzień, jakby miał być ostatnim. Będziemy cieszyć się życiem i mieć dzieci, kiedy przyjdzie na nie pora.

Pochylił się nad nią i musnął jej usta wargami.

- Moja piękna, wyzwolona Maggie. Wiesz, dlaczego Cy-

ganka dała mi tę figurkę? Czytała w moich myślach. Wiedziała, że miłość przyszła w tańcu.

Oczy Maggie zaszczyły łzami wzruszenia.

- *A qua da nv do* znaczy „moje serce”. I tym właśnie dla mnie jesteś. - Wsunął jej pierścienek na palec. - Kiedy się dowiedziałem o twoim porwaniu, przestraszyłem się, że cię stracę. Nie potrafiłbym żyć bez ciebie, Maggie. Moje serce by umarło.

- Ale żyjemy, i ja, i ty. - Łzy pociekły jej po twarzy. -I nie rozstaniemy się aż do końca życia.

- Obiecujesz?

Pokiwała głową i przyłożyła do serca dwa palce.

To niezwykle święto Bożego Narodzenia na zawsze pozostanie w ich pamięci.

Parę dni później Luke i Maggie byli znowu w Altarii. Maggie miała na sobie długą, powłóczystą satynową suknię koloru ecru. Cekiny lśniły na niej niczym roje gwiazd. Włosy gładko zaczesano do tyłu i spięta w elegancki węzeł. W uszach i na szyi zawiesiła opalizujące, drogie perły. Uzupełnieniem tego wytwornego stroju były długie rękawiczki i satynowe pantofelki. Luke ubrał się w czarny smoking, a w jego uchu zamiast srebrnego kółeczka błyszczał mały brylancik, prezent od Maggie.

Zajechali przed Wielką Katedrę i dołączyli do tłumu gości w stosownych, równie eleganckich strojach. Dziś miała się tu odbyć koronacja króla Altarii.

Wielka Katedra w pełni zasługiwała na to miano. Ta niezwykła średniowieczna budowla z kamiennych bloków przetrwała próbę czasu. Luke z zachwytem przyglądał się bogatemu

wystrojowi, marmurowym kolumnom podtrzymującym łukowate sklepienia i ozdobnym mozaikom.

Król Daniel wystąpił w mundurze naczelnego wodza Altarii. Mundur miał złote obszycia i pozłacane guziki. Na piersi króla pyszniły się odznaczenia, medale i wstęgi. Splendoru dodawał przypięty u boku miecz i błękitna szarfa, którą był przepasany.

Uroczystość rozpoczął królewski biskup, głowa kościoła w Altarii, który zwrócił się do zgromadzonych słowami:

- Przedstawiam wam króla Daniela, z woli Boga waszego króla, który wam wszystkim chce złożyć hołd i przysięgę wiernej służby. Czy macie wolę uczynić to samo?

- Boże, chroń króla! - odpowiedzieli zgodnym chórem zgromadzeni.

Król odwrócił się w stronę ołtarza i przyklęknął. Wtedy biskup zapytał:

- Panie, czy Wasza Wysokość zechce złożyć ślubowanie?

- Tak, chcę - odparł król Daniel i położywszy rękę na Biblii, przyrzekł rządzić Altarianami zgodnie z prawem i zwyczajami tego kraju. Zakończył przysięgę słowami: - To, co przyrzekłem, godnie wypełnię. Tak mi dopomóż Bóg.

Następnie na ramiona nałożono królowi koronacyjne szaty, a na głowę wysadzaną bezcennymi klejnotami koronę Imperium. Król, a za nim wszyscy zebrani w katedrze, pochylił głowę w modlitwie, korząc się przed Stwórcą i prosząc go o wspomnienie przez resztę swoich dni.

Po uroczystości wszystkich gości zaproszono do zabytkowego zamku. Szmaragdowa Sala łączyła w sobie tajemnicę śred-

niowiecznej architektury i nowoczesną elegancję. Znajdowała się tam przepiękna jadalnia i ogromny parkiet do tańca. Lśniące, malachitowe podłogi mieniły się różnymi odcieniami zieleni. Kryształowe żyrandole niczym fontanny zalewały wnętrza jasnym światłem. Skręcone kolumny błyszcząły od złocień, a okrągłe stoliki przykryte lnianymi obrusami zdobiły kwiatowe kompozycje i porcelana z królewskim godłem.

Rodzina Connelly zasiadła razem z królem i królową w centralnej części jadalni. Królowa Erin, tego dnia w olśniewającej złotej sukni i diamentowej tiarze, sama dobierała menu, sięgając do przepisów z całego świata. Przystawki kusiły podniebienie różnorodnością smaków. Jędrne karczochy reprezentowały kuchnię włoską, kraby i dip kokosowy - karaibską. Cały poczęstunek składał się z sześciu dań i był doskonały pod każdym względem.

Grant Connelly, w tradycyjnym smokingu, z brylantowymi spinkami przy mankietach, siedział obok równie wytwornie wyglądającej żony i promieniał z dumy. Wszystkim ich dzieciom udało się w życiu odnaleźć miłość i szczęście.

Wreszcie, po dwugodzinnej uczcie, para królewska wyszła na parkiet i zainaugurowała pierwszego walca. Wkrótce dołączyły do nich inne pary, a z nimi Luke i Maggie.

Zapatrzeni w siebie, płynęli po parkiecie, jakby cały świat dla nich przestał istnieć.

- Zupełnie jak wtedy - zauważyła Maggie, spoglądając na Luke'a zamglonymi oczyma.

- Ty naprawdę jesteś moją muzą - wyszeptał jej do ucha.
- Moim sercem. Moją inspiracją.

Zapatrzeni w siebie wyszli na balkon. Niebo nad zamkiem lśniło od gwiazd. Powietrze przesycone było zapachem zimo-

wych kwiatów. Kiedy Luke pochylił się nad Maggie, żeby ją pocałować, przymknęła powieki. Nie miała wątpliwości - czuwał nad nimi anioł o imieniu Lady Ginewra. Przemierzał bezkresy nieba na skrzydlatym koniku i dbał o to, żeby marzenia się spełniały.